POLAK
W BRAZYLJI
Pismo tygodniowe—dla wszystkich—

29 Października 1909 r. REDAKTOR I WYDAWCA *KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI.* Rok V Nr. 44

POLAK W BRAZYLJI

kosztuje:

Rocznie.	8 milr.
Półrocznie	4 milr.
W Królestwie Polskim i Rosji	7 rubli
W Niemczech	14 marek
W Austrji	16 koron
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary.

Numer pojedyńczy kosztuje 200 rs.
Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub ego miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI“

Caixa postal Nr. 122

CURITYBA — PARANA — BRAZIL.

UWAGA. — Przesyłki pieniężne i wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej, — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne sprowadzić może niepożądane opóźnienia w odbiorze listów. —

PRENUMERATE „POLAKA W BRAZYLJI“ przyjmują na [illegible] redakcyjnych p. p.
Bolesław Kłossowski — Ponta Grossa.
Antoni Jakubowski — Agua Branca.
Józef Dytz — Ijuhy.
Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena.
Paweł Miecznikowski — Rio Claro.
Józef Brudziński — Rio dos Patos.
Jan Zwierzykowski — Sw. Barbara.
Wincenty Hamerski — Guarany.
Władysław Szulczewski — S. Feliciano.
Antoni Kurkiewicz — Rio Negro.
Edward Stelczyk — Porto Alegre.
Michał Sekuła —Araucaria.

Redakcja mieści się

przy placu TIRADENTES Nr. 31

ZELEFON N. 167

Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku z wyjątkiem niedzieli.

Od p. Ignacego Walkowskiego, znanego kupca w Araukarji, otrzymujemy artykuł, który ze względu na ważność omawianej w nim sprawy, dajemy na naczelnym miejscu.

Kwestja poruszona przez p. W. obchodzić powinna nas wszystkich, poruszano ją już nieraz w tutejszych pismach, nigdy jednak warunki nie były bardziej odpowiednie dla załatwienia tej sprawy. Prócz prywatnej kolonizacji, którą rozpoczyna kolej São Paulo-Rio Grande, rząd w dalszym ciągu zamierza prowadzić kolonizację na swoje konto, wstrzymując jednocześnie wydawanie bezpłatnych przejazdów z Europy, co musi wpłynąć na zmniejszenie się emigracji europejskiej, tym samym zaś ułatwi polakom z S-ta Katariny dostęp na kolonje rządowe i nabywanie lotów rządowych na warunkach, które były zastrzeżone dla przybyszów europejskich.

P. Walkowski długie lata spędził w S-ta Katarinie, zna więc wybornie miejscowe warunki, kilkoletni zaś pobyt w Paranie pozwolił mu wyrobić sobie dokładne pojęcie o naszym stanie, który, jak to zobaczymy poniżej, uważa bez zastrzeżeń za najbardziej odpowiedni dla naszej kolonizacji.

Zastanawiając się nad losem i przyszłością braci naszych w S-ta Katarinie, przychodzę do przekonania, że polacy tam zamieszkali, powinni skorzystać z obecnej kolonizacji w Paranie i przenieść się tu co do jednego, wymaga tego po pierwsze nasz interes narodowy, po drugie kwestja materjalnego bytu. Postarajmy przyjrzeć się warunkom naszych osadników w S-ta Katarinie, a potem porównajmy je z warunkami w Paranie.

Najprzód zadajmy sobie pytanie, czy polacy w stanie S. Katarina są w stanie zachować swoją odrębność narodową i na jak długo?

Kto zna stan ten choć pobieżnie, ten pośpieszy z odpowiedzią mniej więcej taką:

Polacy w S. Katarinie, pomimo wysiłków, już w drugim pokoleniu, rzadko w trzecim do polaków się liczyć nie będą.

Smutne to przypuszczenie poprę dowodami. Polacy w S. Katarinie zupełnie nie tworzą większych skupień, przez to samo są słabi; urzędnicy świeccy i duchowni są z bardzo małymi wyjątkami niemcy; jeśli kupiec, ksiądz, urzędnik i każdy sąsiad mówią do naszego osadnika po niemiecku, to i on zacznie z czasem do nich po niemiecku mówić — a że szkół niemieckich jest dość, więc z braku polskich, tam się dzieci polskie do reszty germanizować będą. Ta germanizacja postępuje stale i systematycznie naprzód.

Każda jednostka, pragnąca uchodzić za coś lepszego, mówi po niemiecku; każden chłopak goni za niemkinią, bo u nich obyczaje są luźniejsze i wiano obfitsze; każda polska dziewucha za niemcem strzyże oczyma, bo u tego ubranie porządniejsze, ogłady trochę więcej i gospodarstwo wzorowe. Polacy mieszkają w lasach, po za górami, ubogo i nędznie, jeżeli któremu w domu się sprzykrzy, wyjdzie trochę na świat, spotyka się z niemczyzną, z dostatkiem, z chwalbami niemieckimi, gdzie się uda, wszędzie rozbrzmiewa niemiecka mowa, niemieckie panują obyczaje, niemiecka kulturę, myśli więc, że po za niemcami nic nie ma na świecie. Nic też dziwnego, że z czasem zaczyna do niemieckiej gromady się zaliczać, boć jakże nie zaliczyć się, kiedy tu u nich wszystko takie ładne, a u nas takie liche.

Ten proces acz smutny dla nas, jest niestety smutną rzeczywistością, mamy więc nawet z Kwiatkowskich Florów, z Rybackich Ribokow i takich więcej, których całą litanję tu bym mógł przytoczyć. Ponieważ jednak wyliczanie błędów, takowych nie usuwa, przeto poprzestaję na tym, dodać mi tylko wypada, że wszelka obrona jest trudna, gdyż polacy zamieszkują tylko niewielkie obszary ziemi i to zbyt jedne od drugich oddalone. Z tego powodu szkoły, towarzystwa i tym podobne instytucje utrzymać się nie mogę, co smutnie się odbija na losie naszych osadników.

Nie tylko mała ilość polaków i złe ich rozmieszczenie jest powodem upadku i wynarodowienia, przyczynia się do tego w równej mierze i bardzo licha ziemia, bez dróg, bez wszelkiej komunikacji. Dlatego też, gdy który z naszych chciałby założyć jaki handel lub wziąść się do jakiego przemysłu, jest to niepodobieństwem, bo ani ztamtąd dojdzie ani dojedzie, — na prośby do rządu ma się odpowiedź kategoryczną: „Czemuś tam właził, kiedy tam dróg niema, zakładaj swój interes tam, gdzie drogi są gotowe!“

Z tego co tu powiedziałem, widać, że jest wątpliwem utrzymanie się przy swej narodowości,—a położenie materjalne naszych osadników w tym stanie również jest dosyć smutne.

Teraz chcę jeszcze zwrócić uwagę na kwestję klimatu i zdrowotności. Tu mało mam do mówienia, proszę tylko popatrzyć na tych wszystkich, co z tamtych stron tu do Parany przybywają, a okropność sama się wykazuje.

Przychodzę więc do przekonania, że dla zachowania swej narodowości, dla dorobienia się czegośkolwiek i dla poratowania zdrowia, wszyscy polacy z S-ta Katariny powinni się przenieść do Parany.

Z opisów Parany podawanych w „Polaku“, wiemy co tu w Paranie nasi rodacy porabiają, jak żyją i gospodarują, powtarzać tego nie będę, ale natomiast zwrócę uwagę szanownego czytelnika w S. Katarinie na objaw nowy i dla niego niespodziewany.

Pamiętacie Panowie Łotyszów w Jaco-assu, Guarany Mirim i Massaranduba, wiecie tak dobrze jak i ja, kiedy oni się do S. Paulo wynosili, co to za ruch i radość wśród nich była. Otóż widzicie, oni wszyscy teraz przenoszą się tu do Parany, gdyż uznali, że w całej Brazylji nie ma tak zdrowego jak tu powietrza i że tu łatwiej do czegoś dojdzie jak gdziekolwiek. Ten ich przykład powinien i Was zachęcić do zerwania raz na zawsze z ziemią, która

---

Maciek w powstaniu.

Opowieść na tle powstania w r. 1863

PRZEZ

SEWERA (GRYFFA).

Na założenie obozu naznaczono Wąchock, miasteczko położone u podnóża stoków gór Świętokrzyskich, w okolicy fabryk żelaznych, wielkich stawów i gęstych lasów złączonych z puszczami Iłżecką i Świętokrzyską. Miejsce obrano szczęśliwie; ludność fabryczna składała żywioł sprytny, pełen energji, animuszu i wrodzonego pociągu do partyzantki. Każdy z robotników urodzony żołnierz i celny strzelec...

Klasztor Cystersów, wielką walcownię, składy żelaza i magazyny zmieniono na koszary. W kuźniach pracowano dzień i noc; wychodziły z nich setkami kosy proste, długie, podobne do piór, grube w środku, cienkie i ostre po bokach. W miasteczku roiło się jak w ulu, gwar niosła woda stawu na lasy, wszystkie place zajęto pod mustrę.

Kawalerji stanęło trzy szwadrony, chorągiewki furczały w powietrzu, konie młode i jeźdźcy młodzi w białych świtkach i czerwonych krakuskach... Serca rosły, a dusze płakały z radości!...

Co dzień przybywały oddziały strzelców uzbrojonych w dubeltówki, konnych—i ochotników do kosynierów; siły nasze zwiększały się co godzina.

Rano mustra, wieczorami muzyka; lud się bawił, jadł mięso, śpiewał, tańcował i rwał się na Moskala!...

Z okolic Mirca i Iłży zażądano dwóch tysięcy kos; były gotowe, tylko je na drzewa osadzić: Sześćdziesięciu ludzi do późna w noc pracowało. Należało każdy drzewiec dopasować, okuć na dole i obciągnąć żelaznymi prętami. Praca ciężka i żmudna, lecz gdy stanął las wbitych w ziemię dwóch tysięcy kos, zdawało się, że nimi świat można zawojować.

O dwunastej w nocy zajechały wozy i do eskorty stanął pluton strzelców, uzbrojonych w belgijskie karabiny: Ruszyli... Dudniało na moście, a kosy na wozach jakoś żałośnie jęczały. Zabuczało na szosie i ucichło. Miesiąc wyjrzał z za Świętokrzyskich gór, wzniósł się wysoko i zadumany świecił, znacząc drogę, aż dopóki pochód nie zniknął w ciemnym lesie...

Nazajutrz rano patrole przyniosły wieści, że wielka ćma naszych nadciąga. Z głównej kwatery dano rozkaz, aby cała siła wystąpiła na rynek z muzyką, oddać honory przybywającym.

Słońce zaświeciło wesoło na wypogodzonym niebie, mrozik ściął ziemię, śnieg przykrył wzgórza—ciepło i sucho na dworze, ochoczo i raźnie w sercach.

Najdłuższy bok rynku zajęli kosynierzy, strzelcy stanęli w plutonowych kolumnach, kawalerja w dwa szeregi wyciągnęła się po dwóch przeciwległych bokach. Przed kosynierami muzyka, sztab obok strzelców, lud milczący, oszołomiony w środku.

Na białych wzgórzach raptownie poczerniało, słońce zamigotało na kosach, ziemia od stąpań ludzkich zadudniała.

— Idą, idą! — zahuczało w powietrzu.

Z poza wzgórza wyłaniały się kolumna po kolumnie. Na czele każdej jechali na dzielnych koniach dowódzcy. Patrzącym zdawało się, że idą mrowia, gotowe świat cały zalać!...

Raptownie, niespodzianie w tłumie ludu powstał ryk zmięszany z płaczem kobiet.

— Kiej ta czarniawa ruszyła—wołały—to nasza wygrana!

Płacz jest zaraźliwy, łzy płynęły z oczu kosynierom i strzelcom, płakało całe wojsko. Uczucia ludzkie zestrzeliły się w jedno ognisko i zapanowala chwila, której nigdy nie zapomina się w życiu, wżera się głęboko w serce i zostaje

Czarniawa zsunęła się w dolinę, przeszła most, muzyka na rynku zagrała. Chłop w chłopa jak dęby, ciemno bronzowe sukmany, wysokie czapy baranie, u koszul czerwone wstążki, w rękach kosy, na plecach kobiałki; szli szóstkami, spokojni, poważni. Czuli, że są masą, siłą, potęgą—przyszłością... Długim łańcuchem okrążyli sztab, w oczach ich migotały światełka, wojsko prezentowało broń, muzyka grała, lud płakał, kobiety nerwowo śmiały się przez łzy, dowódcy na koniach ustawiali szeregi.

Uderzono we dzwony, na czele sztabu konno wyjechał ksiądz. Przemówił—głos zamarł mu w gardle, łzy go zalały. Naczelnik odebrał przysięgę; księdza na koniu przystrojono w kapę, organista podał kropidło, lud zdjął baranice, ukląkł. Cisza zapanowała, słychać było odgłos kopyt konia niosącego księdza i rzęsiste krople wody spadające na głowy klęczących.

Muzyka zagrała hymn: »Jeszcze Polska nie zginęła«, całe wojsko śpiewało go z ekstazą religijną — głosy drżały w powietrzu!... Na końcu marsz »Bartoszu nie traćwa nadziei« rozochocił szeregi. Wysunęli się naprzód strzelcy w plutonowych kolumnach, za nimi kawalerja, przybyłe bataljony z pod Iłży, a zamykali pochód starzy nasi kosynierzy z pod Szydłowca i Sandomierza.

Ucichło na rynku, zawrzało w koszarach. Dwadzieścia tłustych wołów padło tego dnia. Na dworze w wielkich kotłach gotował się krupnik, chleb rozdano na dwa dni, wódkę wlano do manierek.

Tłumy kobiet, młodych bab i dziewcząt otoczyły wojaków. Radośne przywitania i wykrzykniki zlały się w jeden wielki gwar, lecący po mrozie prosto w górę do nieba.

* * *

Na radzie wojennej odbytej w południe, postanowiono część sił rzucić do Bodzentyna, zagrodzić i przeciąć wielką szosę między Radomiem a Kielcami a resztą sił forsownym marszem rzucić się na południe, zabrać załogi w Opatowie i Sandomierzu, oczyścić dwa województwa i podać rękę Galicji, która wtedy budzić się dopiero zaczynała. Ludzi nie brakowało, szło głównie o broń i amunicję.

za kawałek kukurydzianego chleba, wydziera wam najdroższe skarby: narodowość, zdrowie i majątek.

Ig. Walkowski.

CO MNIE TAM PO NAUCE!

Co mnie tam po nauce? Któż to może się tak wyrazić dzisiaj? Czy może Anglik, Niemiec, Francuz, lub Żyd, któremu talmud powiada: że gorszy jest grzech dziecku nie dać nauki, jak modlitwę Bogu. To też Żyda trudno jest gdzieś spotkać, takiego co by nie umiał czytać i pisać. A iluż to jest naszych braci Polaków, którzy nie umieją sami, a często nawet i swych małych dzieci nauczyć nie chcą. Na własne uszy słyszałem jak mi powiedział starzec może 50 letni: „Panie, co mnie tam prostemu człowiekowi po nauce". Szkoda jest wielka, że wszyscy, którym jest niepotrzebna nauka, nie powiedzą — co nam po życiu.

Możni tego świata, bogacze, również twierdzą, że dla ludzi biednych wystarczy, jeżeli umieją tyle czytać, aby się modlić z książki do nabożeństwa. Tak samo mówią swoim owieczkom duszpasterze na ambonach: unikajcie złych książek, gazet nie czytajcie. Cieszy ich to bardzo gdy ludzie czytają jakiebądź bzdurstwa nabożne, nad którymi baby krokodyle łzy wylewają.

Wszyscy oni są przeciwni temu, ażeby ludzie ciężkiej pracy, dowiedzieli się o tem, jak wygląda świat, jak rozwija się życie na ziemi, jak wygląda niebo, gwiazdy, głąb ziemi, jak żyją rośliny, zwierzęta i ludzie, i jak żyli dawniej. Bo gdy lud pozna to co się wokoło niego dzieje, to zaraz zmądrzeje.

Ale nas to wcale nie dziwi, przecież celowi ich opartemu na wyzyskiwaniu człowieka, zależy na tem, by promyki nauki nie przedzierały się do mas ciemnego ludu.

Człowiek ciemny znosi wyzysk, upośledzenie z wielką uległiwością. Ojcom duchownym i bogaczom potrzeba ażeby ludzie biedniejsi żyli w ciemnocie, byli im zawsze podlegli i ciężką swą pracą karmili próżniaków.

Wielu jest tu w Paranie naszych braci ciemnych, którzy nie rozumieją tego, że nauka i wiedza dla wszystkich ludzi staje się konieczną na każdym kroku. One tylko by mogły nas uwolnić od nędzy, upośledzenia i ciemnoty. Pamiętajmy, że nauka, to najskuteczniejsza broń praw człowieka. Człowiek wykształcony wszechstronnie, znający nauki przyrodnicze, to jednostka posiadająca nieocenione bogactwo. Taki człowiek wszystko własnym rozumem pojmuje, w każdym wypadku jest w stanie wydać swój własny sąd na rozumowaniu oparty.

Nauka i wiedza zawsze daje pewność siebie uświadomionemu, wyrabia samodzielnie myślącego człowieka.

Więc pomyślmy drodzy bracia, czy warto nam zaniedbywać naukę? O nigdy! Powinniśmy jej jaknajwięcej nabywać, w sposób jaki tylko można: a mianowicie czytaniem dobrych naukowych książek, gazet, zakładaniem kółek samokształcenia i t. d. A wtedy dopiero możemy być pewni, że wyrobimi w sobie umysł samodzielny i dobrze przygotowany do nieubłaganej walki z wrogami postępu i oświaty.

W. Topaczewski.

„Odstraszający przykład."

Pod powyższym tytułem prawie wszystkie pisma polskie wychodzące w starym kraju i północnej Ameryce umieściły następującą wzmiankę:

„Do Warszawy powrócił w tych dniach Zygmunt W., który dn. 15 maja r. z. wyemigrował z żoną i pięciorgiem dzieci do Brazylji, porzuciwszy niezłą posadę w Warszawie.

Wyjechał on do Kurytyby, gdzie otrzymał „darmo" 40 morgów ziemi w kolonji Senador Korea, odległej o kilkadziesiąt mil od Kurytyby. Była to jednak taka ziemia, że emigrant zwrócił ją także „darmo". Potem dano mu 20 mórg w kolonji Affonso Penna, które również były nie do użytku. Wreszcie dostał się do drukarni „Gazety Polskiej" w Kurytybie, ale i tu nie mógł się utrzymać. W końcu wydawszy kilkaset rubli na koszta podróży, powrócił do warszawę bez grosza.

Przykład rzeczywiście „odstraszający" szczególniej dla tych, którzy nie znają ani p Zygmunta W., ani nie mają pojęcia o bycie kolonisty polskiego w Paranie.

Gdy poruszaliśmy kwestję emigracji polskiej do Parany, zaznaczaliśmy niejednokrotnie, że tylko rolnicy powinni przybywać do Parany, bo oni jedynie mają szanse zdobycia w krótkim czasie dobrobytu. Rzemieślnicy zaś, robotnicy fabryczni i ludzie różnych innych fachów w rzadkich wypadkach tylko, zawdzięczając wytrwałości i pracowitości, mogą utrzymać się na kolonjach. Pan Z. W. wyjątkowo nie odpowiadał warunkom kolonisty-rolnika. Całe prawie życie pracując w Warszawie w ekspedycji jednego z pism, prawdopodobnie nawet roli zoranej nigdy nie widział. Będąc małego wzrostu, bo zaledwo 1 i pół metra wysokości, wątły wyjątkowo fizycznie, o wyglądzie chorowitym, obarczony liczną rodziną, do pracy fizycznej nie zdolnej, bo żona nie odznaczała się zdrowiem, a dzieci były jeszcze bardzo małe, rzecz naturalna więc, że Z. W. kolonistą zostać nie mógł i że dla niego ziemia pokryta dziewiczym lasem lub też step, nie znający pługa, ani motyki, były „takie" lub „nie do użytku" Wiemy, że p. W. ziemi uprawiać nawet nie próbował, dziwnem więc byłoby, aby ziemia dla niego była „taka", którąby on nie oddał „za darmo". Szkoda tylko, że p. W. nie został tu dłużej i nie zobaczył pierwszych plonów, zebranych przez nowych osadników na kolonji Affonso Penna i Senador Korea, nadmieniamy przytem, że na tych kolonjach, osiedli głównie ci koloniści, którzy w kraju również roli nie widzieli, pracując po fabrykach i warsztatach.

Znając osobiście p. W., możemy zaręczyć, że on nawet w Królestwie, na ziemi uprawianej z pewną kolturą, nie potrafiłby zostać rolnikiem ze względu na stan fizyczny; a cóż dopiero być pionierem i walczyć z dziewiczą przyrodą w Brazylji!

Dziwi nas tylko, że prasa nasza w starym kraju, przyjmuje takie wzmianki jak ten „odstraszający przykład" bezkrytycznie i z zadziwiającą solidarnością umieszcza je na swych szpaltach, gdy tymczasem wieści z Parany o powodzeniu i dobrobycie naszych kolonistów od czasu do czasu pojawiające się w „Przeglądzie Emigracyjnym" lub jakim ludowym piśmie, przez większą część naszych pism, pomijane są zupełnie obojętnie.—Obojętność ta bynajmniej nie wpłynie na zmniejszenie się emigracji ludu naszego z Polski, a tylko skierować ją może do krajów mniej odpowiednich dla nas jak Stany Zjednoczone, Kanada, Argentyna i t. d., gdzie lud nasz ulegnie bezwarunkowo prędzej lub później wynarodowieniu. O tem, że w Paranie polacy mogą zachować swą odrębność narodową, pisaliśmy już niejednokrotnie i wszyscy znający warunki tutejsze, w tym względzie przyznają nam rację.

Z historji ruchu emigracyjnego widzimy, że emigracja już od dłuższego czasu, stale istniała i istnieje, nie należy więc ją traktować jako objaw chwilowy i nie mający głębszych podstaw. Z historji również widzimy, że pomimo różnych odstaszających broszurek od Brazylji, jak ks. Chełmickiego i innych i naganki wszystkich pism, emigracja wcale się nie zmniejszyła, a udała się do półn. Ameryki lub rozsypuje się po świecie.

Zapobiedz emigracji, temu żywiołowemu zjawisku które jest wynikiem specjalnych warunków naszego ustroju społecznego, politycznej i ekonomicznej zależności, przez ignorowanie jej lub drukowanie rozmaitych „odstraszających przykładów", jest niemożebnem. Z objawem tym powinniśmy się liczyć jako z żywiołową reakcją przeciw względnemu przeludnieniu, jako z dowodem żywotności naszego narodu.

Traktowanie po macoszemu ruchu emigracyjnego przez nasze społeczeństwo i naszą prasę w starym kraju, wyrządza niepowetowaną szkodę całej sprawie narodowej, rzuca setki tysięcy naszego ludu, pełnego zasobów energji i sił życiowych na pastwę obcych ras i obcej kultury.

Z całej Polski.

OCHRONA WZMOCNIONA. Według wiadomości, nadeszłych z Petersburga, w przyszłym miesią stan ochrony wzmocnionej zniesiony ma być w gubernjach [illegible]kiej, kieleckiej, kaliskiej, radomskiej, suwalskiej i łomżyńskiej, pozostawiony zaś nadal będzie w gubernjach: warszawskiej, siedleckiej i lubelskiej, oraz w m. Warszawie. Gubernja piotrkowska z kilku przylegającymi powiatami pozostawie w stanie ochrony nadzwyczajnej.

BALON. Dnia 20 z. m. pod Łopuszynem w Kieleckim opadł balon pruski z 4-ma oficerami w ubraniu cywilnym. Oficerów aresztowano i wraz z balonem przywieziono do Kielec, gdzie osadzono ich w hotelu Bristol. W balonie znaleziono sporą liczbę bardzo dokładnie sporządzonych map Królestwa. Na skutek telegramów do władz niemieckich po stwierdzeniu legitymacji, prusaków uwolniono. Tak częste odwiedzanie naszego kraju przez balony pruskie oczywiście nie jest przypadkowe.

NIEMCY NAUCZYCIELAMI JĘZYKA POLSKIEGO. W Łodzi w wielu szkołach elementarnych fabrycznych, z których nauki korzystają dzieci robotników, wykłady języka polskiego powierzane są nauczycielom niemcom; umawiają ich starsi nauczyciele pochodzenia niemieckiego, których przeznaczają na te stanowiska kierownicy administracyjni szkoły o dążeniach hakatystycznych. Doszło do tego, że dzieciom w tych szkołach przy nauce języka polskiego dają „czytanki" drukowane po niemiecku.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nastąpił w walkach pod Melillą zwrot, który może położyć kres całej akcji wojennej na Riffie. Mianowicie otrzymano w Madrycie wiadomość, że wojowniczy szczep Beni Sikar, naokoło którego grupawali się przeciwnicy hiszpańscy, prosił o pokój. Generał Marina postawił bardzo trudne warunki, ale zdodził się na tymczasowe zaprzestanie walki. Wiadomości tej dotąd nie potwierdzono. Natomiast faktem jest, że hiszpanie zwycięzko posuwają się naprzód i istnieją widoki szybkiego zakończenia wojny.

Szybkie zawarcie pokoju oszczędziłoby Hiszpanji dalszych trudów i ofiar, ale pozbawiłoby ją też możności rozszerzenia swych wpływów politycznych, a w każdym razie, zdobycia nowych punktów oparcia na wybrzeżu marokańskim Miałoby to dla Europy ten pożądany skutek, że sprawa marokańska, poczynająca już przybierać charakter niepokojący, —nie dostarczyłaby na razie nowego pretekstu do interwencji europejskiej i nowej sposobności do zakulisowych intryg.

Niezależnie od tego, koniec wojny między Hiszpanją a Kabylami na Riffie nie oznaczałby jeszcze przywrócenia stosunków prawidłowych w interesującym sułtanacie afrykańskim. Nie ziściły się bowiem nadzieje Muleja Hafida, że po obezwładnieniu swego najgroźniejszego przeciwnika Bu Hamary, doczeka się uznania swoich rządów przez wszystkcih swoich poddanycq i będzie mógł przystąpić do umocnienia swej władzy. Na miejscu pokonanego pretendenta do tronu ukazali się dwaj nowi, nie mniej groźni. Jednym z nich jest Mulej el Kebir, popierany przez nieubłaganych wrogów sułtana w potężnym szczepie Segbama. Drugim jest nowy „rhogi", który utrzymuje, że jest prawdziwym Bu Hamarą a rozporządza poważną na stosunki marokańskie siłą 5000 doskonale uzbrojonych jeźdźców,

Korespondencje.

Kampina 24--10—09 r.

Po kolonjach polskich w Paranie ilość szkół ludowych choć powoli, lecz stale wzrasta, co jest dowodem, że kolonista polski odczuwa potrzebę oświaty, kroczy naprzód, dba o przyszłość. Prawie wszystkie szkoły na kolonjach polskich są utrzymywane przez stowarzyszenia kolonistów polskich, w budynkach wzniesionych wspólnymi siłami. Niektóre ze szkolnych budynków są nawet dosyć okazałe i wygodne. Po za tym w ostatnich paru latach prawie przy każdym oświatowym towarzystwie zaczynają powstawać bibljoteki; towarzystwa zaczynają prenumerować oprócz parańskich pisma ze starego kraju. Słowem poziom umysłowy Polonji Parańskiej na prowincji podnosi się, a śmiało możemy twierdzić, że obecnie przy egzystencji szkół polskich jeszcze bardziej się podniesie.

Wówczas oświecona i zrzeszona Polonja

O drugiej godzinie dwie kompanje strzelców, dwa bataljony kosynierów i pluton konnych krakusów odkomenderowano do Bodzentyna. Oddział wyruszył pod dowództwem starego Dawidowicza, odprowadzony przez część sztabu i garść przyjaciół.

Przy wejściu zbitego gościńca oddział przedefilowawszy, żegnany okrzykami — posuwał się wąwozem do góry.

Sztab wracał do Wąchocka.

Gościńcem biegł młody rosły chłop w baranicy wysokiej na łokieć, z kosą w ręku, obok niego młodziutka baba, w białej chusteczce na głowie, a wielkiej kraciastej na ramionach.

Dowódca zatrzymał konia.

— Z którego bataljonu? — zapytał

— Pono z pierwszego... Bartek mówili, że z pierwszego.

— Jak się nazywasz?

— Maciek z Mirca.

— Spóźniłeś się?

— Zostało trochę sperki, tom se nią buty wysmarował, com je dostał od rządu narodowego.

— Wróć, pójdziesz jutro z bagażami i żywnością.

— A buty?! — zawołał Maciek — dali mi nowe, mocne, toby powiedzieli, żem ukradł i uciekł.

Baba pociągnęła go za sukmanę, żeby przystał, lecz Maciek się oburzył.

— Nie boisz się kozaków, uwijają się po drogach? Widzieliśmy ich.

— Abo to daleko do lasu? Ktoby się tam kozuniów bał!... Poradzę ja sobie z nimi.

Maciek pogroził kosą.

— Pójdziesz?

— Co ni mam iść?... ze swymi milej.

Sztab odjechał, Maciek został sam z młodziutką babą.

— La czego nie chciałeś wracać, kiej starszyzna pozwoliła?

— Oni mają swój rozum, a ja swój... rozumiesz Kaśka.

— Głupi... a cóż poradzisz ze swoim rozumem, jak cię kozaki napadną i obedrą?

Załamala ręce.

Maciek stanął, skręcił na bakier baranicę i w głowie się podrapał.

— Kaśka, wygramolże się na ten wzgórek i spojrzyj czy hań... na zakręcie drogi nie widać kozuniów.

— Kiej się boję.

— Bój się i leź, ja se tymczasem spocznę i fajczynę nałożę, spróbuję tego tabaku, co mi starszy całą paczkę dał.

Wyjął fajeczkę, kapciuch, obejrzał się, popatrzał na drogę i powoli napychał ją tytoniem.

— Idźże Kaśka, bo widzisz, jak ich nie ujrzysz, pójdziemy se galanto gościńcem. A jak ujrzysz...

— To mnie zastrzelą — zawołała Kaśka.

— Jeżeli ino będą chcieli strzelać... niech juchy psują proch.

— Głupi jesteś

— No, no, a ty się drap.

Rozsiadł się na kamieniach, na krzesiwku ukrzesał ognia, hupkę przycisnął do tytoniu i pykał wesoło, gdy Kaśka wybrawszy najłagodniejszy spadek wzgórza brnęła po śniegu.

— No cóż? — zawołał Maciek, zobaczywszy na szczycie babę.

— Żywej duszy na całym wielkim zakręcie.

— Szkoda — rzekł Maciek.

— Ej nie kpinkuj, pókim dobra — odpowiedziała Kaśka, zbiegając na dół.

— A znowu to może i lepiej, bo pójdziemy se gościńcem, równo jak po stole.

Wstał, wytrząsł popiół, fajeczkę schował podniósł kosę i oddał ją babie.

— Ponieś trochę, a ja tymczasem łapy wsadzę w kieszenie, zmarzły mi jak kość.

— Kiej się boję, jucha okropnie ostra.

— Nie imaj żelaza, a chwytaj za drzewo. Zjadłaś dziś dwa funty mięsa, smakowało ci?

— A ino!

— Po próżnicy nie zjadaj narodowego chleba, tyle za niego odrób, bierz kosę i bala... marsz!

Babie nałożył kosę na ramię, sam wsadził ręce w kieszenie sukmany — ruszyli.

— Kaśka, jak mi się poszczęści, to ci nie wrócę do chałupy z próżnymi rękoma.

— A jak cię zabiją? jęknęła żałośnie Kaśka.

— A jak przyjdzie choroba i trzeba pójść na długą słomę, co wtedy głupia poradzisz? Śmierć wszędzie znajdzie, gdy zechce albo gdy jej każą.

Kaśka przekonana milczała. Maciek mówił dalej.

— Żeby jeno zdobyć karabin. Wiesz Kaśka, tak mi się zachciewa karabina, żebym o maluśko co duszy za niego nie sprzedał.

— A potrafisz ty z karabina strzelać?

— Nie tak jak ty!... Czy potrafię? ty mnie będziesz uczyć!... Jak zdobędę na bądź nijakim Moskalu karabin, to już sobie dam radę. I jako ci sem dam radę ho, ho!... Trzymaj prosto kosę, bo mi ślepia nią wydłubiesz... Kaśka tyś na wojaka, ha, ha!...

— Baby nie do wojska — odpowiedziała urażona Kaśka.

Szary zmrok i niebieskawa mgła przetykana purpurowymi refleksami zachodzącego słońca otulała ziemię. Maciek baraszkował, rojąc wielkie rzeczy, rwał się do karabina i wojska: Oboje lecieli jak opętani.

Na skręcie gościńca raptownie zadudniało od kopyt końskich, dziki śpiew podobny do krzyku czajek rozległ się w powietrzu. Maciek pochwycił kosę z rąk Kaśki i rzucił ją w śnieg do parowu.

Nadjechał patrol kozacki. Ośmiu drabów z wysokimi pikami, na małych konikach przygalopowało. Maciek zdjął czapkę. Kaśka dygocząc ze strachu schowała się za niego.

— Ad kuda? — huknął podoficer.

— Z kościoła — odparł Maciek.

— Ty kasynier — wrzasnął podnosząc nahajkę.

— A gdzie kosa? — odpowiedział butnie chłop.

— Ty był w Wąchocku?

— A juści był.

Kaśka uderzyła go nieznacznie w plecy.

D. c. n.

parańska może zdobyć lepszy byt materjalny i już w niedalekiej przyszłości zająć poważniejsze stanowisko w całym kraju.

Dalej z radością można zaznaczyć, że wszędzie po kolonjach, gdzie tylko powstała szkoła polska, a w parze z tym podniosł się poziom umysłowy kolonistów polskich, ci ostatni nie czują się niższymi od innych narodowości, nie wstydzą się języka polskiego, lecz przeciwnie: są dumni ze swego pochodzenia, szczycą się przeszłością Polski i wierzą w świetlaną przyszłość społeczeństwa naszego.

Tak mniej więcej sprawy nasze stoją po kolonjach polskich na prowincji, tak się przedstawia życie społeczne kolonisty polskiego.

W przeciwieństwie do polskiego rolnika żyje polski rzemieślnik, drobny kupiec i robotnik, osiadły w Kuritybie. Pomimo to, że kolonja polska w Kuritybie liczy około 3 tysięcy dusz, jest skupioną stosunkowo na niewielkiej przestrzeni i nie jest biedniejszą od innych, rezultaty jej pracy społecznej są bardzo małe, więc nie tylko nie służy przykładem innym kolonjom, lecz oddziaływa na nie i na nowych przybyszów ujemnie. Na zabawach towarzystw polskich, a nawet i w obrębie czterech ścian domowego ogniska rodziny polskiej, coraz częściej daje się słyszeć cudzoziemszczyzna, bo polak urodzony w Kuritybie poniekąd wstydzi się swego pochodzenie.

Temu nie ma się co dziwić, bo go posyłano do szkoły niemieckiej lub brazylijskiej. bo mu nie dano poznać piękna ojczystego języka, bo słyszał wymysły od swych rodziców na ludzi, którzy „niosą oświaty kaganiec“ w rodzinnym języku.

Była w Kuritybie szkoła „T-wa Szkoły Ludowej w Brazylji“, ale ta wobec małego zainteresowania się nią społeczeństwa polskiego i z innych przyczyn została zamkniętą.

Jedyną polską szkołą, która istniała od 10-u lat w stołecznym mieście Parany i która skutecznie walczyła z ciemnotą naszą i wszelkimi przeciwnościami, była polska szkoła p. Janiny Kraków.

Szkoła p. Janiny Kraków była utrzymywaną i prowadzoną wyłącznie przez nią samą i to zupełnie bezinteresownie. W owej szkole dzieci otrzymywały naukę w języku i duchu polskim, ponieważ p. J. K. uczyła nietylko czytać, lecz i wpajała w nich wolnego ducha, uczyła ich myśleć, zastanawiać się, umiała w nich wzbudzić zamiłowanie do dalszego rozwoju przez czytanie książek i pism polskich. W szkole p. J. Kraków dzieci kształciły się wszechstronnie, ponieważ oprócz rozwoju swego umysłu, oprócz nauki czytania i pisania, początków geografji, rachunków i historji, mu siały pokochać piękno, nabrać zamiłowania do porządku i czystości, które wyzierają z każdego zakątka szkoły.

Słuchając wykładów w piękną, a zrozumiałą formę ujętych, nauczyły się dzieci władać językiem polskim poprawnie, musiały go pokochać, a co ważniejsze, to nauczyły się w ojczystym języku myśleć. I ta jedyna szkoła polska w Kuritybie, która dawała społeczeństwu polskiemu tak znaczne usługi, ostatnimi czasy przestała funkcjonować, a to z powodu braku sił u p. J. Kraków do dalszej pracy z powodu wątłego zdrowia.

Polacy mieszkający w Kuritybie, powinni wreszcie zdobyć się na utrzymanie własnej, na wysokości zadania stojącej szkoły. Ochronka zakonna, albo przedsiębiorstwa rzekomo oświatowe niemieckich księży werbistów, nie są to instytucje, które nas od wynarodowienia bronić potrafią, bynajmniej zaś nie dążą do oświaty i uświadomienia.

Lechita.

KRONIKA.

RIO DE JANEIRO. W kołach politycznych obecnie panuje względny spokój, który tymbardziej daje się odczuwać po dniach burzliwych starć w kongresie i manifestacjach zwolenników marszałka Hermesa — z jednej strony i cywilnej kandydatury z drugiej. Obecny spokój nie dowodzi jednakże, że nastąpiła jakaś zgoda między stronnictwami, lub też jedno z nich usunęło się z widowni politycznej, przeciwnie, agitacja wzmożona trwa w dalszym ciągu, politycy stron obu wytężają wszystkie siły w celu powiększenia swych szeregów przez jednanie zwolenników. Silna agitacja przedwyborcza daje się szczególnie zauważyć w północnych stanach Brazylji; tak jedno jak i drugie stronnictwo wysłało swych agitatorów w wymienione okolice. W większych miastach od czasu do czasu urządzane są mityngi, manifestacje i t. d.

Spodziewać się należy, że walka wyborcza będzie nadzwyczaj silna, ponieważ oba stronnictwa posiadają licznych zwolenników i z zaciętości starć wynikłych w ubiegłych miesiącach, widać, że przywódcy stronnictw postanowili użyć w walce wszelkich możliwych sposobów. — Jako illustrację naprężenia stosunków w ubiegłym miesiącu w Rio de Janeiro, może służyć fakt, że w niektórych pismach pojawiły się wzmianki o przygotowującym się zamachu na życie marszałka Hermesa, o czem jakoby policja się dowiedziała, aresztowawszy kilku anarchistów przybyłych z zagranicy dla wykonania zamachu. Wszystko to naturalnie było pozbawione jakichkolwiek podstaw, i użyte było dlatego tylko, ażeby osłabić popularność zwolenników cywilnej kandydatury.

Oczekiwane jest wkrótce przybycie do Rio de Janeiro nowych torpedowców, wykonanych w warsztatach angielskich na zamówienie rządu brazylijskiego.

NAPAD NA POCIĄG. Dnia 25 b. m. depesze doniosły o zuchwałym napadzie na pociąg linji kolejowej São Paulo-Rio Grande do Sul i kradzieży 300 tysięcy milrejsów, przeznaczonych dla wypłaty robotników kolejowych.

Napad odbył się mniej więcej następująco: gdy pociąg wiozący płatniczego z pieniędzmi kompanji kolejowej, znajdował się na 152 kilometrze w pobliżu stacji Calmon, banda złożona z 20 ludzi uzbrojonych karabinami, zatrzymała pociąg strzałami. Następnie zamordowawszy dwóch urzędników kolejowych, znajdujących się w wagonie z pieniędzmi i paru innych zraniwszy, zabrali całą kwotę pieniężną w ilości 350 tysięcy milrejsów i zniknęli. — Według doniesień komisarza policji z Calmon, nazwiska kilku bandytów i w tej liczbie dowódcy ich, są znane, mianowicie: hersztem bandy miał być niejaki Jose Oliveira, noszący przezwisko Vaccariano, pochodzący ze stanu Rio Grande do Sul, kilku innych byli to służący pułkownika Fabricio mieszkającego w Porto União da Victoria. — Dyrektor kompanji zażądał od szefa policji niezwłocznego pościgu za rabusiami. — Szef policji zwrócił się również z prośbą do swych kolegów we Florianopolis i Porto Alegre o pomoc w wyśledzeniu bandytów o ile by takowi ukryli się na terytorjach stanu S-ta. Cathariny lub Rio Grande do Sul.

BAHIA. Zaszło kilkanaście wypadków zachorowania na dżumę i żółtą febrę. Wśród mieszkańców szerzy się panika.

PSY POLICYJNE. Nowy komendant policji w Rio de Janeiro, generał Thamaturgo, ma zamiar wprowadzić do użytku agentów policyjnych, psy tresowane w Belgji.

GRAD. W Palmas dn. 15 b. w nocy padał nadzwyczajnej wielkości grad. W wielu domach pobił dachówki i okna. Owoce z drzew zostały postrącane i wszelka roślinność zniszczona. Przez cały dzień następny, w miejscach, gdzie promienie słoneczne nie dochodziły ziarna gradu leżały grubą warstwą.

FAŁSZYWE PIENIĄDZE. Dnia 22 b. m. zostali uwięzieni przez komisarza policji Josino Padilha i Andre Jorge, jako podejrzani o puszczanie w obieg fałszywych banknotów. Powodem do tego posłużył fakt, że jeden z mieszkańców Kurytyby dostał od nich, jednocześnie sześć fałszywych banknotów 50 milrejsowych.

IMMIGRANCI. Znajduje się w barakach w Kurytybie 35 immigrantów niemców i holendrów, przybyłych w ubiegłym tygodniu.

ŚMIERĆ WETERANA. Dnia 13 z. m. zmarł w Porto Alegre w szpitalu, dziesiętnik wojska polskiego w 1863 roku Jan Lasocki. Będąc w powstaniu, brał udział w kilku potyczkach Zmarł skutkiem pogniecenia przez lokomotywę, która najechała gdy przejeżdżał przez tor kolejowy.

T-WO. SZKOŁY LUDOWEJ W BRAZYLJI. Uchwała Walnego Zgromadzenia T-wa. dotycząca kupienia placu w Kurytybie i wybudowania na nim własnego gmachu, dotychczas w braku odpowiednich środków materjalnych nie mogła być urzeczywistnioną.

Obecnie jednak dążenia T-wa. przybierają bardziej realną formę a zarząd T-wa. będzie w stanie rozwinąć skuteczną akcję w tym kierunku wobec daru, które otrzymało T-wo. Mianowicie pp. Kazimierzostwo Warchałowscy ofiarowali T-wu. 6 hektarów ziemi na Bakaszery, wartości 1000 milrejsów, następnie pełny ładunek wagonowy materjału drzewnego na dom, z warunkiem, że będzie dostawiony bezpłatnie do którejkolwiek stacji kolejowej w granicach Parany, złoty zegarek kieszonkowy i dwa obrazy w ramach (kopje naszych mistrzów). Przedmioty te jak również ziemia ofiarowane są z warunkiem, by zostały puszczone w loterję, zysk z której całkowity musi być użyty na kupno placu w Kurytybie i budowę domu T-wa.

Nie wątpimy, że Zarząd T-wa. potrafi skorzystać odpowiednio z ofiary, a społeczeństwo nasze w Brazylji pośpieszy z dalszą pomocą tak w datkach jako też i przy rozkupywaniu biletów loterji T-wa. Szkoły Ludowej.

Potrzebę gmachu, któryby służył za miejsce zebrania naszych Towarzystw, gdzieby mogły się odbywać odczyty, obchody narodowe, zabawy polskie i t. p. odczuwamy oddawna, liczymy więc, że wszyscy w interesie społeczeństwa, wreszcie dla zadowolenia słusznej ambicji narodowej, zechcą przyczynić się choć cegiełką do budowy gmachu, który będzie prawdziwie Domem Narodowym.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. L. Rygiewiczowi.—Ogłoszenie pańskiego poszukiwania uskuteczniliśmy w dwóch numerach „Polaka“. Należy się nam 2 milr.

P. Franciszkowi Brandeburskiemu.—Prawdopodobnie list od pana Szulczewskiego do nas zaginął w drodze, ponieważ żadnego zawiadomienia o wpłaceniu prenumeraty przez pana nie otrzymaliśmy.

P. *Janowi Buczkowi.* Żądane książki wysłaliśmy pod pańskim adresem. „Żyd wieczny tułacz“ wyczerpany i „Sekretarza do listów“ nie posiadamy. Pozostaje u nas do rozporządzenia pana 7$900. Pieniądze do Gebetnera i Wolfa na podręczniki piwowarskie wysłaliśmy.

P. *Ignacemu Czapiyewskiemu.*—„Polaka“ pod adresem p. p. Franciszka Zbytkowskiego i Stefana Chausa, wysyłamy regularnie. Prosimy upominać się na poczcie. Również prosimy o zawiadomienie nas które numery nie doszły, a takowe o ile nie są wyczerpane, ponownie wyszlemy. Żądana przez pana książka została wyczerpana. Wysyłamy panu jako premjum za zjednanie prenumeratorów książkę pod tytułem „Sfinks Lodowy“.

P. *Adamowi Domjanowi.* — Z żądanych przez pana książek wysłaliśmy tylko „Naukę rachunków“ i „Opis Królestwa Polskiego“, reszta zaś została wyczerpana. Pozostaje u nas do rozporządzenia pańskiego 2$500.

P. Ludwikowi Mencikowi.—Należne panu 2 mile, stosownie do żądania, wpisaliśmy na rachunek prenumeraty p. Józefa Niczewskiego. Pieniądze do red. „Pravo Lidu“ wysłaliśmy w swoim czasie, o czym zawiadomiliśmy pana w jednym z poprzednich numerów „Polaka“.

Ogłoszenia.

Za dział ten Redakcja nie odpowiada.

ANDRZEJ DERENDA poszukuje Wawrzyńca i Wiktorji Derendów i szwagra swego Józefa Lewandowskiego. Przed kilkunastu laty mieszkali oni w Porto Alegre.

Ktoby wiedział o miejscu ich zamieszkania, uprasza się o zawiadomenie redakcji.

4—1

T-WO MUZYCZNE „ORKIESTRA POLSKA“

urządza dn. 7 Listopada bal i loterję fantową w sali Garibaldi.

Wszystkie dochody są przeznaczone na umundurowanie.

Początek o godzinie 8 wieczorem.

ZAKŁAD KOWALSKO-STOLARSKI

Józefa Baziewicza w Marechal Mallet potrzebuje natychmiast stelmacha. Bliższych wiadomości udzieli właściciel na miejscu lub listownie.

Taborda & Irmão

Zawiadamiamy pracowitą i sympatyczną ludność polską stanu, że każdym statkiem przychodzącym bezpośrednio z Europy, otrzymujemy w wielkim wyborze materjały łokciowe, galanteryjne i wszelkie artykuły modne, które sprzedajemy po cenach wyjątkowo niskich.

Nasze sklepy znajdują się:

1-szy — ul. José Bonifacio No. 1.

2-gi — ul. 15 de Novembro No. 46.

T A B O R D A & I R M Ã O

Podajemy do wiadomości rodaków, przejeżdżających przez portowe miasto Santos, że w **HOTELU EUROPEU** znajdą uczciwą polską obsługę i dobre, a względnie tanie życie.

Hotel znajduje się w pobliżu stacji kolejowej pod adresem:

3 Rua de São Bento 3

S A N T O S

26—3

Za darmo

nic nie ma, ale kto chce tanio a dobrego wina, słodkiego cukru, świeżej mąki, dobrej kawy, pięknego ryżu, wonnego pieprzu i wiele wiele przedmiotów codziennego użytku, niech się uda do wendy

Ignacego Walkowskiego

przy stacji Araukarja.

Kupuję i płacę najwyższe ceny za kukurydzę, fizon, żyto, słomę, owies i t: d. Z tym wszystkim polecam się Szanownym Rodakom.

Z poważaniem

IGNACY WALKOWSKI.

Adres dla telegramów: Walkowski Araucaria.

10—6

KOLONISTOM I KUPCOM

polecamy zaszczytnie znany zakład rymarski rodaka

Fr. Wykroty

który po długoletniej praktyce w pierwszorzędnych warsztatach niemieckich otworzył przed rokiem pracownię w Kurytybie.

PRAÇA TIRADENTES Nr. 40 [obok kamery municypalnej].

Z ODDZIAŁEM NA ARAUKARJI

Wykonywa i ma zawsze na składzie uprzęże i chomonta na konie, siodła systemu angielskiego i brazylijskiego, rzemienie, materace i inne tym podobne rzeczy wchodzące w zakres rymarstwa i tapicerstwa.

Robota mistrzowska, towar wyborny, ceny niskie.

P R A C A.

Poszukuje się 400 ROBOTNIKÓW o płacy 3$500 do 4$00 dziennie z jedzeniem. Wypłata co soboty. Koszta podróży zwraca się.

Potrzeba też kamieniarzy, kowali, mularzy i innych rzemieślników— płaca do 7$000 dziennie z jedzeniem. Zgłaszać się do sklepu Karola Liszewskiego, Praça Zacharias No. 16 — Kurytyba.

2—2

DOM IMBUJOWY oraz kilka innych budynków, stanowiących całość gospodarstwa wraz z 25 alkrami ziemi mniej więcej, jest do sprzedania na bardzo przystępnych warunkach w Dorizon (stacja drogi żelaznej São Paulo-Rio Grande), jest przy tym potrejra 12-alkrowa ogrodzona drutem z bardzo dobrą wodą. — Oprócz tego jeszcze 2 loty 10-alkrowe.

Bliższych wiadomości udzieli Wojciech Twardowski w Kurytybie rua Saldanha Marinh 161 oraz firma Paul & Twardowski w Marechal Mallet.

Tytoń wyborowy po 800 rs. kilo

S P R Z E D A J E

skład Affonso Penna

FRYDERYK KELLER

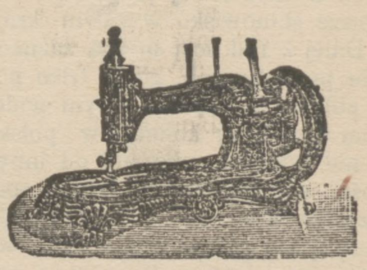
Kurytyba — Largo do Mercado

10—2.

CASA CRYSTAL

Wendler, Schneider i S-ka.

Kurityba, ul, 15 de Novembro 64, *Skrzynka poczt. 100*



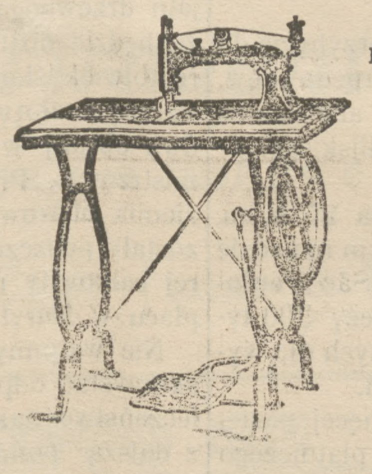
Główne i najtańsze źródło wszelkich towarów żelaznych, szkła, porcelany i naczyń kuchennych.



Oleje i farby

CHCĄC ROZSZERZYĆ NASZĄ KLIJENTELĘ POLSKĄ, NAZNACZYLIŚMY MOŻLIWIE NIZKIE CENY NA WSZYSTKIE TOWARY I POKŁADAMY NADZIEJĘ, ŻE STARANIA NASZE BĘDĄ NALEŻYCIE OCENIONE.

WSZYSTKIE TOWARY,KTÓRE POSIADAMY, SĄ ŚWIEŻO SPROWADZANE Z EUROPY. NARZĘDZIA I INNE PRZEDMIOTY MAMY TYLKO NAJNOWSZYCH SYSTEMÓW.



Stale na składzie: maszyny do szycia, pługi, łopaty siekiery, narzędzia stolarskie i piły do tartaków.

Broń i amunicja
Szyby do okien
Komplet naczyń emaljowanych
Naczynia fajansowe i żelazne
Blacha i płótno druciane
Drut kolczasty



Lampy — Lakiery — Broń.

Paulo Hauer & S-ka.

Plac Tiradentes *Kurytyba*

Największy skład miejscowy maszyn rolniczych i narzędzi

Polecamy wprowadzone przez nas słynne pługi amerykańskie „C O L O N O" OO, a także pługi żelazne wszelkich innych systemów.

SIECZKARNIE, MŁÓCARNIE DO KUKURUDZY I T. D.

Każdemu z naszych Szanownych Klijentów dajemy gwarancję, że przy nabywaniu naszych artykułów, otrzymuje je na najdogodniejszych warunkach, zwracamy specjalnie uwagę publiczności, że PŁUGI, KTÓRE NIE NOSZĄ MARKI „COLONO" OO, są towarem małej wartości.

Adres Marechal Floriano Peichoto N. 10

Biuro Porady Prawnej

DR. VIEIRA DE ALENCAR & KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI

Prowadzi wszelkie sprawy sądowe i w sekretarjatach.

Załatwia reklamacje w sprawie podatków

Działy familijne

Pomiary sądowe i polubowne.

Wszelkie podania (requerimento) do prezydenta, sekretarjatów, sądu, kamery, policji.

Kupno i sprzedaż

ZIEMI PRYWATNEJ I RZĄDOWEJ

Dział specjalny

Prawne porady listowne po polsku we wszelkich kwestjach prawnych, cywilnych i kryminalnych.

Biuro przyjmuje prowadzenie spraw w Kurytybie, jak również we wszystkich miastach i kolonjach Parany.

KORESPONDENCJA I PORADY

po polsku.

Handel hurtowy win

Interesa komisowe i składowe i kupno na rachunek własny.

Quadros & Irmão

Ul. 15 de Novembro No. 84 Curityba.

Wyłączni importerzy słynnych win Porto marki „MOSQUETEIROS" i „PORTO HEROICO" i wina „Villa Fria".

Stale na składzie: cukier, ryż, wódka kawa, wina miejscowe, proch, farby, konserwy, oliwa, trunki wszelkie, ryby suszone i wszelkie artykuły „seccos e molhados".

SPRZEDAŻ HURTOWA

CENY NAJNIŻSZE.

S Ł Y N N E O Ł Ó W K I

Fabryki St. Majewskiego

N a j l e p s z e !

N a j t a ń s z e !

Do nabycia w Księgarni Polskiej.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna

Nie nabywajcie nigdzie ołówków, nie obejrzawszy OŁÓWKÓW MAJEWSKIEGO, gdyż są one od wszystkich tańsze i lepsze.

★ POPIERAJCIE
PRZEMYSŁ
★ POLSKI

Wielka likwidacja

MATERJAŁÓW ŁOKCIOWYCH DLA KOLONISTÓW

WYPRZEDAŻ PO CENIE KOSZTU I NIŻEJ

S K Ł A D

Affonso Penna

Fryderyk Keller

KURYTYBA — LARGO DO MERCADO.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

WACŁAW GĄSIOROWSKI

ROK 1809

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z EPOKI NAPOLEOŃSKIEJ

13

Poniatowski jest takim samym generałem dywizji, jak i on, Zajączek! Różnica między nimi jest, co prawda, wielka, tamten ma za sobą dziesiątek lat hulatyki, próżniactwa i zaszargane gronostaje stryja, a on dziesiątek lat trudów wojennych przy boku Napoleona!...

Zajączek jak burza, wpadł do zacisznych pokoi pod Blachą. Będącemu na służbie Skrzyneckiemu rzucił przez zęby słów kilka o gwałtownej potrzebie widzenia się z księciem i prawie bez meldowania wszedł do gabinetu Poniatowskiego.

Książę Józef powstał na powitanie przybyłego i ozwał się wyniośle:

— Czemu mam przypisać, generale, pańskie niespodziewane przybycie!?

— Ważnej sprawie! — uciął krótko Zajączek — Inaczej przecież nie ważyłbym się ci, mości książę, przerywać!...

— O cóż idzie?!

— Słyszałeś mości książę, o Dąbrowskim?!

— Przed chwilą właśnie otrzymałem raport.

— I co, mości książe zamierza?!

— Nie wiem! Sprawa zagmatwana!... Zarzuty jednostronne!... Rada Stanu ma się zebrać na nadzwyczajne posiedzenie!... Zobaczymy!...

Zajączek, dotknięty wspomnieniem Rady Stanu, do której był nie należał — odparł porywczo.

— Co tam Rada Stanu zadecyduje, to mnie nic nie obchodzi!... Władzom cywilnym nie podlegam i nie mam z nią do czynienia! Natomiast chciałbym wiedzieć, co, mości książę, postanawiasz uczynić jako żołnierz wobec tak jawnego gwałtu?!

— Jak dotąd, nic jeszcze nie wiem. Trzeba rzecz zbadać!...

— No, tu nie ma wątpliwości...

— To się wyjaśni! — ciągnął zimno Poniatowski. — Powtarzam, trzeba zbadać!... A co do mnie, akkomodować się będę do zdania Rady Stanu!!...

— Widzę, że na punkcie Rady Stanu trudno mi się porozumieć! Ja w niej widzę inne zgoła ciało...

— Jakże chcesz generale!?... Król jegomość w Dreznie, no a bodaj ani on, ani ja nie mam prawa odebrać panu Dąbrowskiemu dowództwa!!...

— O tem się nie mówi, mości książę... wszyscy trzej jesteśmy tu generałami dywizji!...

Poniatowski zbladł, szarpnął niecierpliwie temblakiem pałasza i zagadnął sucho.

— Czyś pan, generale, po to przyszedł, aby mi to powiedzieć!

Zajączek przeszedł się parę razy po pokoju a potem hamując wewnętrzne wzburzenie — rzekł pojednawczo.

— Nie po to, mości książę! Przyszedłem tutaj, aby wspólnie rozważyć rzecz i wspólnie coś przedsięwziąć!... W zaszłym wypadku widzę naruszonym honor armji, plamę rzuconą na mundur!... Ja mogę uznawać, lub nie uznawać nad sobą władz cywilnych— atoli prawa ich szanuję i jak nie pozwoliłbym im się wtrącać do spraw mojej dywizji, tak nie ważyłbym się na przemoc!...

— Do czego ta cnota twoja, generale, prowadzi?

Zajączek zagryzł do krwi wargi.

— Mości książe, w ten sposób dalej kierowana rozmowa do wszystkiego nas doprowadzi, jeno nie do porozumienia!...

— Bezwątpienia!... Prowadź ją więc inaczej generale!...

— Mości książę! Znasz mnie, jestem szczery nawet w niechęci, lecz zapomnij na chwilę o różnicach, jakie nas dotąd dzieliły! Nie wiem, jakie jest zdanie książęcej mości, ale co imć pan Dąbrowski za wiele sobie pozwala! Wspierany przez Wybickiego, rządy tu sprawował prawie, zabiegając u generalicji francuskiej i lada sztabowcowi czapkując! Co tu długo mówić, gdyby jego nie było, może porządek rzeczy byłby inny... Długi czas nie mięszałem się do niego, znosiłem samowolę, nie przeszkadzałem tym zakusom dyktatorskim, co imć pana Dąbrowskiego nakłaniały nawet do ubiegania się o poklask gawiedzi. Lecz co teraz, to za wiele tego! Otóż... zwracam się do ciebie, mości książę! Nie potrzebuję ci chyba tłómaczyć, co tu u nas znaczą intrygi pana de Soniera!... Dla oczyszczenia się Dąbrowski nie omieszka ich użyć! Tu trzeba stanąć murem, bo inaczej Bóg wie, czego się można spodziewać! Może imć pan Henryk Dąbrowski zacznie swoim dawnym naczelnikom rozkazywać?

Ostatnie wyrazy Zajączka snać trafiły do Poniatowskiego, bo głowę pochylił i oczy spuścił, jakby chcąc ukryć te ognie, które mu pod powiekami rozgorzały. Zajączek nacierał dalej.

— Trzeba imć panu Dąbrowskiemu ukrócić cugli, trzeba, żeby nareszcie w tem Księstwie pan Wybicki nie był wyższym nad króla a generał dywizji mógł na swoją rękę z dworem francuskim prowadzić rozhowory!...

— Cóż chcesz zatem uczynić!?...

— Wespół z książęcą mością poczynić natych miast przedstawienia u pana de Sonier... potem wysłać sztafety do Drezna, marszałka Davousta i pana de Serra... a tu zarządzić zawieszenie winnego w dowództwie!... Mam nadzieję, że skoro my dwaj wystąpimy, stanie się tak, jak będziemy chcieli!... Pan Dąbrowski będzie mógł gdzieindziej służby szukać a bodaj wynająć się pruskiemu królowi, a potem swoje dawne zamiary uskutecznić!...

Poniatowski milczał. Zajączek przez czas pewien mierzył księcia pytającym wzrokiem a w końcu zapytał niecierpliwie.

— Mogę więc liczyć na pomoc książęcej mości?!...

Poniatowski brwi zesunął a potem rzekł z mocą:

— Nie generale, nigdy!...

Zajączek poczerwieniał.

— Innemi słowy... gwałtownik, samowolnik, nie szanujący munduru, który nosi, znajduje w książęcej mości zachowanie, opiekę!?...

— Nie generale! — odparł spokojnie Poniatowski — daleki jestem od osłaniania... ale pamiętać muszę o czterdziestu bitwach wygranych przez Dąbrowskiego lub za jego przyczynieniem się, — pamiętać muszę nie tylko błędy jego, lecz i wielkie zasługi!... Zresztą wina dowiedziona nie jest! Rada Stanu się zbieże, potem może rada wojenna... ale nie tylko potępić, trzeba, lecz i wysłuchać!!...

— Dziękuję księciu za naukę! — rzucił hardo Zajączek. — Bodaj pierwsza to była z mojej strony propozycja jednomyślności, ale klnę się, że ostatnia!... Mnie jeszcze przed Abukirem nauczono tego, co złe a co dobre, gdzie się zaczynać, a kończyć winna względność!... Półkownikiem już byłem pod hetmanem Branickim, w Sejmie zaprawiałem się do rzeczy sądzenia a szlufy nosiłem wtedy, gdy drugim jeszcze powijaki zawiązywano!...

— Do czego pan zmierza!?...

— Do tego, że za dzisiejsze moje wystąpienie czuję się winnym przed samym sobą. Zajączek jeszcze nie jednego nauczy rozumu!... Przepraszam za natarczywość. Mam honor pożegnać księcia!

Niefortunny wynik rozmowy z księciem nie zachwiał Zajączkiem, odpowiedź Poniatowskiego roznieciła w nim tylko większą zajadłość, rozdmuchała skry nieubłaganej zawiści, jaką żywił dla obydwóch swoich współzawodników. Poniatowski uchylił się, nie przyjął podanej mu ręki, wolał udać wspaniałomyślność książęcą, tym gorzej dla niego.

Zajączek postawił na swoim. Objechał pół Warszawy, trafił do wszystkich ministrów, uchodził Małachowskiego, zjednał dla swoich planów Gutakowskiego, wreszcie przeciągnął na swoją stronę nawet generałów brygady.

Sprawa szła gładko. Dąbrowski śród personatów Księstwa nie miał przyjaciół. Potomkowie wielkich imion darować mu nie mogli, że przed nimi brał wszędzie pierwsze miejsca; figury urosłe na orłach napoleońskich, niechętnie poglądały na tego, co w łaskach ich ubiegł a w końcu każdy, któremu roły się zaszczyty, wpływy, książęce fortuny, co zabiegał o sławę imienia, o popularność się starał — Dąbrowskiego znieść nie mógł.

Zajączek więc wszędzie dobre znalazł przyjęcie. Jedni ubolewali obłudnie nad zgorszeniem, drudzy smutnie kiwali głowami, dając do zrozumienia, że wróżby ich się sprawdziły, trzeci ledwie ukryć mogli radość... Owocem zabiegów tych była dłuższa rozmowa ministra Łubieńskiego i Ostrowskiego u pana de Sonier, depesza do Drezna na ręce ministra sekretarza stanu, imć pana Stanisława Brezy, a nakoniec zwołanie natychmiastowe rady wojennej, która miała się zebrać bez udziału Dąbrowskiego a dopiero po zapadnięciu uchwał miała oskarżonego wysłuchać.

Dąbrowski ani się spodziewał tymczasem, jaka nad nim chmura nienawiści zawisła. Dobrze już nad wieczorem powócił do kwatery od imci pana Józefa Wybickiego, z którym był ułożył, aby fundowanie trzecich bataljonów przyśpieszyć a nadto skłonić Radę stanu do wydania odezwy, zwołującej pospolite ruszenie.

Adjutant Szczaniecki przedstawił generałowi listę osób, co w czasie jego nieobecności były z rozmaitymi sprawami, a potym zwiastował mu wiadomość, że gubernator Sonier dwa razy przysyłał ordynansa z zapytaniem, czy Dąbrowski jest w domu?

Generał bez zdumienia przyjął raport Szczanieckiego, nie po raz pierwszy zabiegano tak o chwilę z nim rozmowy i nakazawszy, aby Zabielski był gotowy udać się do loży, zasiadł do wertowania nadesłanych mu z dywizji referatów.

Wieczór zapadł, wielki zegar w gabinecie generała jął wygrywać kuranta na siódmą godzinę. Dąbrowski zadzwonił na służbę, kazał przynieść światło a poleciwszy, aby kałamaszka była gotową do wyjazdu, jął pośpiesznie ostatnie papiery podpisywać. Potym doręczył papiery Szczanieckiemu, a sam zaczął przypasywać pałasz i o płaszcz wołać.

Szczaniecki zagadnął o Zabielskiego, czy ma się zbierać.

— Oczywiście!... Pojedzie ze mną!...

— Ale!—wtrącił Szczaniecki i urwał nagle.

— Cóż takiego!... Mów!...

— Nie wiem, czy pan generał wie, że oddziały dywizji generała Zajączka dostały rozkaz wystąpienia pod broń!...

— Pierwsze słyszę—odrzekł dobrodusznie Dąbrowski.—Ćwiczenia jakie, inspekcja?

— Nie wiem generale!...

— Wolno panu Zajączkowi!...

— Kiedy bo panie generale... właśnie i dywizja księcia Józefa spodziewa się takiego samego rozkazu!?..

Dąbrowski spojrzał bystro na Szczanieckiego.

— Lutek! Cóż to niby jest! Masz wiadomości jakie?...

— Generale, powtarzam... rozkazy te łączą się z naszą ranną sprawą! Właśnie kapitan dowodzący tą kompanją był u mnie... wracał od szefa sztabu, dokąd wzywano go na śledztwo!...

— „Saperlotte"! Tak im się to nie podobało! No proszę!... Et!... Nie miałeś sobie czym głowy zaprzątać!... Moszyński się pieni! No, pokażę ja mu, jak to należy strzedz miasta!... Wołaj mi Zabielskiego!...

Szczaniecki wybiegł spełnić rozkaz, lecz po chwili wrócił do gabinetu generała z oznakami wzruszenia.

— No!?... Jakże?!...

— Panie generale! Pułkownik ósmego pułku Cyprjan Godebski z rozkazu rady wojennej!

Dąbrowski ucieszył się szczerze, nie wiele zwracając uwagi na urzędowy ton zameldowania.

— Godebski tutaj—a nie w Modlinie?! Dawajże go prędzej! Prowadź!... Jestem... jestem dla niego zawsze!...

Zanim generał skończył, we drzwiach ukazała się marsowa postać pułkownika w pełnym mundurze. Dąbrowski z uśmiechem serdecznym wyciągnął ręce do przybyłego.

— Witaj mi stary towarzyszu!

Godebski wyprężył się i rzekł drżącym głosem.

— Generale! Pozwól, że spełnię rozkaz!...

— Ty... ty do mnie z rozkazem!?...

— Tak generale! Rada wojenna wzywa cię, abyś natychmiast stawił się przed nią!...

Dąbrowski oczy przetarł i poglądał ze zdumieniem na pułkownika, jakby uszom własnym nie wierząc.

— Rada mnie wzywa!?... Więc zebrała się bezemnie!? Nie wiedziała, żem przybył do Warszawy?!...

— Taki odebrałem rozkaz!...

— Rozkaz!—powtórzył z naciskiem Dąbrowski Rada mnie rozkaz przysyła!!... A któż ją zwołał bezemnie!?... Wojny deklarowanej nie ma!... Jestem na miejscu! Mości pułkowniku... odpowiesz, odpowiesz, że Rady takiej nie uznaję!...

— Panie generale—rzekł z odcieniem smutku Godebski.—Wybacz śmiałe słowa... trzeba, żebyś się udał... trzeba żebyś szedł!... Czekają!...

— Kto czeka, do stu par djabłów?!

— Wszyscy!...

— Kto taki!?...

— Wszyscy generałowie, pułkownicy obecni w Warszawie... gubernator Sonier... wszyscy!...

— Prócz mnie!...

— Prócz ciebie generale! — potwierdził ponuro Godebski.

— No,—odparł dumnie Dąbrowski. — To powiesz tym wszystkim, że ja dziś nie przybędę, bo...

zamiast spóźnionego rozkazu, powinienem był odebrać wczesne zaproszenie!...

Godebski milczał a po chwili odezwał się gorąco:

— Panie generale!... Jeżeli odrobinę żywisz przyjaźni dla oddanego ci oficera z pod Werony, Lajbach, Hochstaedt, Hohenlinden... zawierz mi!... Nie ociągaj się dłużej... tu nie o przepomnienie należnego ci szacunku idzie, nie o chęć uchybienia twemu stanowisku w Radzie... ale... o honor, o odparcie krzywdzących zarzutów, które ci stawiają!...

Dąbrowski zatrząsł się.

— Dosyć! nie kończ!... Szczaniecki!...

Adjutant wbiegł do gabinetu.

— Generale... Zabielski czeka przy podjeździe!...

— Nie trzeba! Wróć go!... Konia dla mnie!... Dwie kompanje piechoty w pełnym rynsztunku tu pod dom!... Czekam! Ruszaj!...

Szczaniecki znikł. Generał mierzył wielkimi krokami gabinet, trzaskając pałaszem. Godebski stał blady, jakby w ziemię wryty.

— Generale! Cóż chcesz uczynić!?... Na Boga! Jednym słowem zamkniesz im usta!...

— Hola mości pułkowniku! Stamtąd, skąd przeciwko mnie takie padły wyrazy—mogę i muszę spodziewać się czegoś najgorszego!... Długo zamykałem uszy na intrygi, na podszepty, nie chciałem wielu rzeczy widzieć, nie chciałem ich się tknąć!... Gra zaszła za daleko!.. Do czarta, dosyć ślimaczej roboty! Dosyć cierpliwości!... Nie znam żadnych personatów, nie znam żadnych panów—sobie jestem! Sobie byłem!... Zaciągnąłem się na służbę ojczyźnie, a nie żadnym panom ministrom, rezydyntom, marszałkom! Od nich ani rangi, ani krwawego dorobku nie brałem! Wara odemnie!... Zasię chmyzom a sługusom!

Głos Dąbrowskiego dźwięczał coraz ostrzej, coraz groźniej.

— Ja mam tłómaczyć się przed tymi, którzy może tej ręce zawdzięczają, że miasto w pruskich antykamerach żebrać łaski landratów, mogą się sami rządzić!... Ze sług znów wyszli na panów!... Mości pułkowniku... a jużby mi nie dziwno nawet było, gdyby się tu zjawił u mnie jaki faworyt, paniczyk, co razem z metresą dostał instrument na pułkownika!... Ale ty, stary towarzysz!... A nadto, śmiałeś mi wypomnieć Hohenlinden, Weronę!...

— Generale!... spełniłem rozkaz! Wybrano mnie podobno umyślnie! Wdzięczen im jestem, bo inny, nie rozumiejąc ukrytej intrygi, mógłby zlecenie uczynić bardziej drażniącym!... Żołnierzem jestem... rozkaz!..

— Więc na to mi przyszło! Cha!... Dobrze powiedziałeś, rozkazów słuchać trzeba samemu, aby potem mieć prawo, by je słuchali inni!...

Generał klasnął na pokojowca i kazał sobie podawać wielki mundur generalski, przypasał szpadę, przypiął krzyże, wdział stosowany kapelusz z pióropuszem i czekał, poglądając niecierpliwie ku drzwiom.

— Generale!... Na co opóźniać przybycie, na co dawać czas tym, którzy radziby każdy twój krok opatrznie wytłómaczyć!?...

— Więc może ty masz rozkaz odprowadzenia mnie!?..

— Nie generale! Takiego rozkazu bym nie przyjął!... Jeżeli tu jestem to jedynie, aby ci dać dowód, że cię opuścić nie chcę, że chcę być przy tobie!...

— Dziękuję ci! Późno już!.. Gdzież rada się odbywa?

— Na zamku, obok sali sejmowej.

— Trudno, poczekać muszą.

Za oknami rozległ się miarowy krok maszerującego wojska. Dąbrowski powstał z miejsca i podszedł do okna.

— Są moje zuchy!... Ruszajmy więc!... Kiedy rada daje rozkaz, trzeba się stawić ze stosowną paradą!...

Dąbrowski nacisnął mocniej kapelusz i wyszedł przed podjazd. Dwie kompanje piechoty stały w pogotowiu. Rozległa się krótka komenda.

— Baa...czność!... Prezentuj—broń!...

— Jak się macie smyki!? — rzucił raźno generał.

Żołnierze odpowiedzieli okrzykiem pełnym zapału.

— Kto dowodzi?...

— Z prawa starszeństwa kapitan trzeciej kompanji, drugiego batal'onu, piątego pułku, Osipowski.

— Druga kompanja czyja?

— Łagoński z drugiego pułku.

— Trzonowe zęby dwóch pułków! Wybornie! ostre ładunki macie?

— Według rozkazu generale!

— Słuchajcie chłopcy! Ja potrzebuję dzisiaj waszej eskorty... Saperlot, nie jeden był ze mną pod Gdańskiem! Tam co innego! Tam co innego, a tu czasem trzeba!... Osipowski! Udasz się waszmość ze mną! Zaciągać będziesz warty tam gdzie się zatrzymam. Pół plutonu z porucznikiem za mną w krok!

— Według rozkazu!...

— Lutek! Żeby mi tu żywa dusza nie weszła ani wyszła!

Dąbrowski wskoczył na konia. Godebski stał bezradny, nie wiedząc sam, co ze sobą czynić. Generał spostrzegł zaambarasowanie pułkownika.

— No, panie Cyprjanie! Deklarowałeś się!... Wędruj na piechotę! Konia pod ręką nie mam drugiego. Kapitanie, pozwól pułkownikowi na prawem skrzydle. Toć zaszczyt takiego oficera mieć w szeregu!

Godebski stanął obok Osipowskiego. Żołnierze powitali go szmerem zadowolenia.

Dąbrowski spiął konia ostrogami, zatoczył nim raz i drugi przed szeregami, wrszcie skinął pałaszem. Bębny zawarczały przeciągle a potym uderzyły w takt marsza. Trębacze tego tylko czekali, obejrzeli się po sobie i zagrali Dąbrowskiego tak, jak go tylko Dąbrowskiemu grać umiano.

Dźwięki znanego marsza o tak spóźnionej porze, zbudziły Warszawę z przedwieczornej drzemki. Lud zewsząd wylegał na ulicę; wiedziano już, kogo te dźwięki zapowiadają, że to oddział z dywizji p. Henryka. A cóż dopiero, kiedy oczom tłumów ukazał się ukochany generał, w wielkim kapiącym od złota mundurze, o twarzy jasnej, uśmiechniętej, a pełnej hartu i mężkości.

— Wiwat Dąbrowski! Niech żyje!—huknęły tłumy.

Generał wojskowym ukłonem odpowiedział na powitanie, a gdy rozgorączkowany lud jął z kolei wznosić okrzyki na cześć żołnierzy, Dąbrowski zdarł konia i zawołał swym stalowym głosem:

— Słyszycie smyki? Na podziękowanie... prezentuj broń!

Bagnety błysnęły śród świateł bijących z okien domów i rozwartych drzwi sklepów. Lud jeszcze gorętszymi okrzykami odpowiedział na zaszczyt, który go spotykał, stłoczył się tak silnie około oddziału wojska, że ten ledwie posuwać się zdołał. Śmielsi z ludu podsuwali się do generała, byle go dotknąć, byle kraj czapraka do ust przycisnąć. Matki unosiły dzieci na rękach do góry. Starcy oczy łzami zaszłe przysłaniali a znakiem krzyża witali umiłowanego.

— On nasz!—Krew z krwi!—Z nim i za nim wszędzie!—Za jego przewodem!

Lud kołysał się, parł falą za pióropuszem, aż wreszcie dźwiękami marsza rozmarzony, odpowiedział pieśnią. Pieśń z początku cicha, nieśmiało wtórująca trębaczom, rosła, potężniała, brzmiała coraz pełniej, płynęła i wiarą w przyszłość i ufnością odmłodzonych sił i fantazją i tęsknicą legjonów, które każdą zwrotkę pieśni tylekroć razy własną krwią święciły.

Pieśń wstrząsnęła murami Warszawy, odzywała się echem w izdebkach, w dworkach witały ją rozognione twarze, w pałacach chmurne oblicza, bo tam nazywać ją chciano jeszcze pieśnią generała, tam zgryźliwie odzywano się o niej, tam pytano często, zali Dąbrowskiemu nie śnią się bonapartowe koleje.

I szła ta pieśń, szła radośna, harda tym, od którego się poczęła, aż dosięgnęła sali zamkowej, gdzie za wielkim stołem zasiadała rada wojenna.

Prezydował książę Józef, mając po prawej ręce gubernatora pana de Sonier, a po lewej generała Zajączka. Obok tych dopiero usadowili się dokoła Fiszer, szef sztabu głównego, Pelletier, dowódca artylerji, Sokolnicki, pierwszy po Fiszerze kandydat na dywizję, a dalej Biegański, Hanke i Niemojewski, Hebdowski, Woyczyński, Kamieniecki, Grabowski, Izydor Krasiński i Różniecki. Za nimi pułkownicy: Rautenstrauch, pozujący na polskiego Murata, Prebendowski i Tyszkiewicz, Małachowski i Staś Potocki, a wreszcie Bontemps, Sierawski, Górski, Antoni i Żółtowski. W głębi gromadka adjutantów, między którymi przeważały karmazynowe mundury ordynansów księcia, czekała na rozkazy.

Milczenie zalegało salę. Świece, osadzone w wielkich dwuramiennych lichtarzach, skwierczały hałaśliwie. Pan de Sonier opowiadał półszeptem księciu jakąś plotkę paryską i chichotał cicho. Książę chwiał obojętnie głową, usiłując się uśmiechać. Na przeciwnym końcu stołu Rautenstrauch ze Stasiem Potockim rozmawiali z zajęciem, przyglądając się miniaturze, którą pierwszy odebrał był Hebdowskiemu. Zajączek próbował był zagadać do Fiszera, lecz ten, pochylony nad rozłożoną przed nim mapą, zbył go milczeniem. Pozostali członkowie rady nie starali się nawet rozpraszać ciszy. Z głowami lekko pochylonemi, ze ściągniętemi brwiami, poglądali niespokojnie ku drzwiom. Niekiedy z za mundurów wychylała się złota cebula, a naciśnięty dzwonek wybijał kwadrans więcej...

Zajączek raz i drugi odchrząknął niecierpliwie—wreszcie odezwał się sucho.

— Możeby... posłać dowiedzieć się!... Pułkownik Godebski powinien już być z powrotem.

— Kto wie, czy zastał generała! — wtrącił pojednawczo Pelletier.

— Trzeba czekać — zawyrokował książę.

I znów cisza zalegała. Pan de Sonier szukał był właśnie nowego przedmiotu do rozmowy, gdy z poza okien wpadł do sali lekki odgłos bębnów, a w ślad za nim dalekie echo pieśni.

Poniatowski zagryzł wargi. Zebrani spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem. Tymczasem pieśń brzmiała coraz silniej... uderzeniom bębnów zaczęły odpowiadać szyby zamkowe. Zajączek nie mógł znieść dłużej tej pieśni.

— Oddział dywizji... generała Dąbrowskiego o tej porze!

— Czyż miał skąd nadciągać? — rzekł cicho Poniatowski do Fiszera.

— Nie, wasza książęca mość!

— Skąd więc tak hałaśliwie się zachowują!

— Zwykła swywola oficerów pana Dąbrowskiego! — dorzucił Zajączek. — Przy lada przechodzie urządzają takie marsze tryumfalne.

— Lud to lubi! — zauważył pan de Sonier.

— „Mais c'est trop"! — odrzekł Poniatowski.

Jakby na potwierdzenie tych słów, pieśń wydostawszy się już na plac przed zamkiem, zatrzęsła murami. Zajączek zaczął się niecierpliwić.

— Ale to... tłum musi iść!... Coś zakrawa na manifestację!... Już to porządek w mieście wiele pozostawia do życzenia!

Książe odwrócił głowę ku stojącym w głębi adjutantom i skinął. Skrzynecki zbliżył się do Poniatowskiego.

— Zobacz proszę... poruczniku... co za zbiegowisko. A... zapytaj, kto prowadzi oddział.

Skrzynecki oddalił się pospiesznie. Książę Józef zaś odwrócił się do generała Fiszera i ozwał się cicho:

— Przypomnij mi proszę, generale... trzeba będzie w rozkazie dziennym wydać w tej mierze instrukcję...

Fiszer pochylił głowę i znów powrócił do rozpatrywania mapy. We drzwiach tymczasem ukazał się Skrzynecki.

— Cóż, poruczniku?... — zapytał książę, hamując zniecierpliwienie.

— Generał Dąbrowski z dwiema kompaniami piechoty nadciąga pod Zamek... Tłum ludu idzie za nim.

— Więc... oczywiście pułkownik Godebski musiał go nie znaleźć, nie przypuszczając zapewne, że generał paradę... wieczorną odprawia!...

— Wasza książęca mość... pułkownik Godebski idzie w pierwszym szeregu!...

Poniatowski powstał z miejsca.

— Mości panowie! Słyszycie?! Nadto śmiało!

— Pozwolę sobie dodać, że to jest jawne wyzwanie, rzucone Radzie! — podchwycił porywczo Zajączek.

— „Toujours le mieme!" — wtrącił pan de Sonier, któremu Hanke przetłómaczył był raport Skrzyneckiego.

— Generał dywizji Henryk Dąbrowski! — rozległ się w tej chwili donośny głos oficera służbowego

— Prosić! — rzekł sucho książę. — Pułkownik Żółtowski zechce rozpocząć protokół... a pan, panie generale Różniecki, odczytasz oświadczenie Rady Stanu!...

Poniatowski osunął się ociężale na fotel. Nastała krótka chwila oczekiwania. Drzwi otworzyły się na ścieżaj. Wszedł Dąbrowski z głową podniesioną dumnie, tuż za nim ukazał się pułkownik Godebski a dalej Osipowski z pół plutonem żołnierzy.

Rada wojenna jakoby oniemiała ze zdumienia. Dąbrowski postąpił krok najprzód, rozejrzał się dokoła i zapytał spokojnie:

— Wzywaliście mnie, panowie!... Jestem!... Słucham!... Niechże się dowiem, czemu przypisać, że Rada wojenna zebrała się tak niespodziewanie... i aż rozkazem szukać mnie raczyła?... Jestem!

Poniatowski głowę podniósł.

— Panie generale! — rzekł z naciskiem — Zanim przyjdzie nam dać ci poznać przyczynę naszego zebrania i... tego niespodziewanego, jak słusznie się wyraziłeś, rozkazu... wytłómacz nam, co znaczy... że tu na posiedzenie Rady przybywasz... z eskortą?!... Co to karabiny znaczą?! Co ta warta?!

— Za oczywistą obrazę ją poczytuję! — wtrącił porywczo Zajączek. — Mościpanowie, za warunek stawiam usunięcie eskorty!... To groźba!...

— Imć pan Zajączek się myli — eskorta jest tylko obroną tego komu służy! Odebrawszy rozkaz, uznałem za właściwe stawić się tak, jak mi przynależy z rangi!...

— Wątpię, żeby ktokolwiek z obecnych, przystał na świtę waszmości! — syknął przez zęby Zajączek.

Oczy zebranych zwróciły się na pana de Sonier. Lecz gubernator zdawał się być w tej chwili zajętym wyłącznie złotym galonem swego prawego rękawa. Poniatowski bębnił palcami po stole, Fiszer na chwilę nie odrywał się od mapy.

— Głosujmy zatem! — rzekł po namyśle książę Józef. — Przedewszystkiem... należy rozstrzygnąć, czy... generał Dąbrowski... może być badanym... czy eskorta jego nie jest uchybieniem!... Więc pułkowniku, Górski!...

— Jest! — odpowiedział zapytany.

— Pułkowniku Przebędowski?

— Nie!

C. d. n.

Pogadanki Naukowe.

PATAGONJA.

Patagonja zajmuje południowy kraniec lądu amerykańskiego. Jest to kamienista, w znacznej części pustynna wyżyna, stanowiąca spadek Kordyljerów ku oceanowi Atlantyckiemu.

Wyżynę tę przecinają rzeki w głębokich łożyskach, wyżłobionych w twardym gruncie. Północną część Patagonji zajmuje sucha równina, łącząca się z argentyńskimi „pampasami“, t. j. stepami pokrytymi bujną trawą. Patagończycy, a właściwie Tehuelcze, są ludem myśliwsko-koczowniczym. Jakkolwiek dopiero Hiszpanie sprowadzili do Ameryki konie, które na bujnych stepach Argentyny szybko się rozmnożyły, Patagończycy w krótkim przeciągu czasu stali się wybornymi jeźdźcami. Małymi hordami przebiegają oni konno pustynne obszary swej ojczyzny, polując na guanaki i nandu (strusie). Struś południowo-amerykański różni się od afrykańskiego, jest mniejszy, ale biega równie szybko.

Guanaki wraz z pokrewnymi im lamami wigoniowymi, dostarczającymi delikatnej sierści, należą do największych zwierząt tuziemnych, dorównywają bowiem wzrostem jeleniowi. Lama była przed przybyciem Europejczyków do Ameryki jedynym zwierzęciem oswojonym. W Peru używano jej do przewożenia ciężarów, jak w Azji i Afryce wielbłąda. Guanako jest zwinniejszy od lamy i przypomina nieco antylopę, jakkolwiek nie ma rogów. Piękne to zwierzę ma sierść czerwonawo-brunatną, długie, odchylone w tył uszy, duże, łagodne oczy i krótki, zakończony puszystą kiścią ogon.

Broń pospolicie używana do polowania, nazywa się bola. Zarówno konni jak i piesi Patagończycy wywijają nią goniąc umykające guanaki. Bola składa się z dwóch lub kilku kul metalowych, a w braku ich — kamiennych, przymocowanych do lekkiego sznura. Myśliwy wywija tym sznurem nad głową, następnie jednym rzutem okręca szyję zwierzęcia i dusi je, powaliwszy na ziemię. Na polowanie biorą zwykle kilka kul zapasowych, sznur zaś robi się z kiszek tego zwierzęcia, na które urządzają obławę. Jak znakomicie wpływa na zdrowie i dzielność Patagończyków czyste, stepowe powietrze, swoboda i ćwiczenia ciała, widzimy z jednego rzutu oka na ich okazały wzrost, wydatne piersi i barczystą postawę. W porównaniu z nimi Indjanie leśni robią wrażenie nędznych cherlaków. Trudno rozpoznać naturalną, brunatną barwę skóry Patagończyków pod warstwą różnokolorowej gliny zmieszanej ze szpikiem. Całą twarz nacierają sobie tą mięszaniną, pragną zapewne przez to zabezpieczyć skórę od bolesnego pękania wskutek suchości powietrza. Ponieważ zdaniem ich zarost szpeci twarz, wyrywają więc starannie za pomocą srebrnych szczypczyków wszystkie włosy z brody, a czasem nawet brwi i rzęsy. Lecz za to bardzo troskliwie pielęgnują włosy na głowie. Mężczyźni i kobiety gładko czeszą włosy i przewiązują kolorowymi przepaskami.

Patagończycy odznaczają się od innych ludów koczowniczych wielkim zamiłowaniem czystości. Latem kąpią się co rano, poczym kobiety: matki, żony lub córki — czeszą szczotkami czarne, gęste włosy mężczyzn. Kobiety splatają sobie włosy w dwa duże, spadające na plecy warkocze, które sztucznie przedłużają za pomocą włosienia z grzyw lub ogonów końskich i przyozdabiają rozmaitymi świecidełkami. O upodobaniu w ozdobach świadczą jaskrawe pasy i srebrne, emaljowane blaszki zamiast kolczyków w uszach kobiet. Najpospolitszą odzieżą męską są krótkie, skórzane spodnie, podobne do majtek kąpielowych. Kobiety i dziewczyny noszą długie aż do kostek opończe, albo bluzy. Materjał na te suknie, jak również kule metalowe do boli, srebro na szczypczyki i ozdoby i t. d. otrzymują od kupców, wzamian za skóry guanaków lub pióra strusie. Na tę spodnią odzież wszyscy Tehuelcze, bez różnicy płci, wkładają płaszcze z miękkiej, bujną sierścią pokrytej skóry młodych guanaków. Płaszcze noszą futrem do ciała, zewnętrzną zaś stronę malują czerwoną ochrą, na której robią czarne krzyżyki.

Tylko latem można spotkać Patagończyków bosych. Po ziemi pokrytej szronem, a tymbardziej po śniegu boją się stąpać bosymi nogami, chociaż wogóle są na zimno bardzo wytrzymali. Ażeby zabezpieczyć nogi od zmoknięcia, wkładają czasem dwie pary obuwia, jedną na drugą, wskutek czego stopy ich wydają się nadmiernie długie. To zapewne było powodem, że Hiszpanie nadali im nazwę Patagonów t. j. mających długie stopy, chociaż bynajmniej nie mają dużych nóg.

Mężczyźni i kobiety noszą długie, sięgające do kolan, obcisłe buty. Robota takiego buta jest bardzo łatwa. Z nogi zabitego konia ściągają skórę, nie rozcinając jej i natychmiast wciągają tę skórę na własną nogę. Po kilku dniach, kiedy but nabierze formy, obcinają wystający poza palec kawałek skóry i zszywają ją u dołu. Oszczędzają jednak takich butów, używając ich wyłącznie prawie do konnej jazdy; do chodzenia zaś mają zwykle trepki z twordymi podeszwami.

Dla Patagończyka zmuszonego przenosić się z miejsca na miejsce, koń jest niezbędnym towarzyszem. Wszyscy jeżdżą konno, nawet kobiety. Dzieci bodaj wcześniej umieją jeździć, aniżeli chodzić. Każdy chłopak, a nawet każda dziewczynka otrzymuje już w dzieciństwie na własność konia z uzdą i siodłem.

Zamożność człowieka oceniają według ilości posiadanych koni i ozdób srebrnych.

Po śmierci Patagończyka zabijają na grobie jego ulubionego konia, z którego mięso dzielą pomiędzy krewnych nieboszczyka i krewnych jego żony.

Na grzbiecie konia spędza patagończyk większą część życia aż do chwili kiedy wyda ostatnie tchnienie, poczym złożą go w mogile w postawie siedzącej, z twarzą zwróconą ku wschodowi.

Nawet niemowlęta odbywają podróże konno, za siodłem matki w kolebce zrobionej z desek i związanej rzemieniami. Wewnątrz kolebki znajduje się miękkie posłanie; podczas drogi zarzucają chustkę na w pałąk nad kolebką patyki, ażeby uchronić dziecko od skwaru lub deszczu.

Patagończycy wyrabiają za pomocą małych toporków bardzo starannie siodła drewniane Stosownie do wypukłości grzbietu konia wyginają dwa podłużne kawałki drzewa z tyłu i z przodu przymocowują dwa odpowiednio zakrzywione łęki i całe siodło podbijają miękką, umyślnie pozbawioną włosów, świeżą skórą guanaka, która wysychając, ściąga się i ściślej jeszcze łączy części siodła. Strzemiona z twardego drzewa, u bogatych z blachy srebrnej, wiszą na długich rzemieniach. Zarówno na koniu wierzchowym jak i na jucznym, który dźwiga skórzany tłomok i drągi od namiotu, czapraki włożone na siodło, a nie pod siodło jak u nas i spięte popręgami. Na czapraki używają, o ile dostać mogą na zamianę skóry baraniej z czarnym włosem.

Garnek żelazny i trójnożna rynka są niewątpliwie obcego pochodzenia. Umieją jednak Patagończycy wyrabiać rozmaite przedmioty z żelaza i ze srebra. Dolary srebrne, otrzymane od kolonistów, dopóty kują kamiennym młotem na kowadle kamiennem, aż metal stanie się tak rozciągliwym, że można mu nadać pożądaną formę. Za pomocą tych samych prostych narzędzi oraz pilnika i dłuta ze starego żelaztwa wyrabiają rozmaite narzędzia, np z połamanych nożyczek — noże, z gwoździ, powyciąganych ze szczątków rozbitego statku — iglice do zszywania skór, oraz ostrza do dzid. Przy wejściu do obozu wbijają zawsze dzidy w ziemię. Drzewce tych dzid zrobione są z pewnego gatunku trzciny, podobnej do bambusa, więc pomimo długości, broń jest nadzwyczaj lekką.

Ale najważniejszym rzemiosłem jest kuśnierstwo i wyrób surowych rzemieni na lasso, używane do chwytania koni. Jest to długi pas rzemienny, zakończony pętlą. Kobiety muszą wyprawiać skóry, co nie jest wcale łatwą robotą, a odbywa się w ten sposób. Swieżo zdartą skórę rozciągają i przybijają do ziemi drewnianymi kołkami, ażeby wyschła na słońcu. Potem skrobią ją ostrym kamieniem lub kawałkiem szkła, obficie smarują tłuszczem i wygniatają rękami, dopóki nie zmięknie. Skóry na pokrycie namiotów, zwanych toldo, przygotowują także kobiety. Na jeden namiot zwykle idzie 40—50 skór starych guanaków. Zrobienie takiego namiotu wymaga wielkiej pracy i zręczności.

Kobiety powinny rozbić namiot, nazbierać suchych gałęzi do palenia i przynieść wody, Mężczyźni wracający z polowania, wygodnie rozkładają się w namiocie, skończył się dla nich dzień pracy, ale nie skończył się dla kobiet. Muszą one jeszcze nakarmić i uśpić dzieci, które pielęgnują bardzo troskliwie, a a kiedy z tem skończą, biorą się do tkania przepasek na głowę i innych zajęć niewieścich Przepaski robią z przędzy, nabywanej od kupców. Umieją nawet pewien gatunek tkaniny przerobić na inny, tak samo jak zręcznie przerabiają rozmaite przedmioty metalowe.

Patagończycy świadczą o tym, że człowiek w trudnych warunkach bytu, zmuszony do pracy, do walki z naturą, rozwija swoje zdolności, gdy tymczasem ten, który ma wszystkiego poddostatkiem, o zaspokojenie potrzeb swoich troszczyć się nie potrzebuje, zwykle gnuśnieje w bezczynności i nie wznosi się wyżej.

Rozmaitości.

JAGUAR.

Ameryka ma także swojego wielkiego kota, a jest nim jaguar, który nie gardzi mięsem żadnego ze zwierząt kręgowych, tylko, że fauna Ameryki nie posiada tej siły, jaka się znamionuje na lądach Starego Świata; więc jaguar nie wytrzymuje porównania z lwem i tygrysem. Chociaż mniej silny, chociaż dzikość jego nie posiada owego, że tak powiem, majestatu grozy, jest on jednak dostatecznie potężny i straszny dla człowieka. Głównie Ameryka południowa jest ojczyzną jaguara ale człowiek biały, siejący zboże, wróg wszelkich łowców, ogranicza go i wypycha coraz natarczywiej, podobnie, jak bliźnych swoich Czerwonoskórych. Jaguar napada trzody bydła rogatego, konie, muły i chętnie wyprawia sobie z nich ucztę. Woły dorosłe i konie umieją jednak mężnie stawić czoło rabusiowi i z powodzeniem odeprzeć jego napaść, o ile jaguar w pierwszym skoku nie powalił któregoś trupem na ziemię. Są okolice, gdzie zwierz ten godzi zuchwale na ludzi, przyczem, jak powiadają, przekłada Murzyna, Indjanina lub Mulata nad białego. Raniony wpada w wściekłość i wtedy bywa bardzo niebezpieczny. Indjanie polują nań w sposób bardzo pierwotny, który ma jednak tę zaletę, że nigdy nie zawodzi. Robią oni dmuchawkę z bambusu, a z żyłek liści palmowych, albo z cieniutkich cierni, wyrabiają strzałki drobne, delikatne, pobobne do maleńkich igiełek i napuszczają je gwałtownie działającą trucizną. Indjanin, który posiada zwinność i podstępność kota, a umie pełzać, prześlizgiwać się w trawach, jak wąż, zbliża się niespostrzeżony do zwierzęcia na taką odległość, ażeby strzałka wydmuchnięta niezawodnie dotarła do celu. Puszcza on swoje pociski zdradliwe jeden za drugim, nie sprawiając najmniejszego szelestu. Kiedy te szpileczki padają, niby kolki ostów, jaguar wcale na to nie zważa, gdyż kolą go mniej dotkliwie, niż ciernie aloesu; przytem wydaje mu się, że je powiew wiatru strząsa nań z traw lub krzewów. Ale już w kilka minut przekonywa się, co za straszne następstwa są owych pozornie niewinnych igiełek, które człowiek tak podstępnie i okrutnie wbił mu w ciało. Trucizna bowiem działa bardzo szybko; członki zwierzęcia omdlewają niebawem, siły opuszczają je coraz więcej, zjawia się. jakby senność, nieprzeparcie ubezwładniająca. Zwierz dostaje drgawek, które nim wstrząsają, podrzucają. Porywa się nagle, usiłuje podskoczyć, biegnąć. Nie! straszliwa niemoc go krępuje, nie pozwala na żadne ruchy własnowolne, i tętno życia zanika wśród drgań, męczarń konania! Tak działa ów oręż, dmuchawka i szpileczka, który z pozoru wygląda, jakby przeznaczony na zabawkę dla małych dzieci. Jest to sposób podstępny, który wymownie świadczy o charakterze okrutnym dzikiego łowcy. Poco narażać swoje życie, skoro trucizna spokojnie zwali z nóg wroga? Sposoby takie łowieckie skrytym sztychem. zdają się pochodzić od wężów jadowitych i żmij, które człowiek pierwotny podpatrzył i z powodzeniem naśladował. Atoli indjanin, jako łowca, zdobywa się także na odwagę w boju otwartym i posuwa ją do zuchwalstwa w stopniu najwyższym, a jednocześnie zachowuje przytomność umysłu i zimną krew rycerza nieustraszonego. Przedstawimy tutaj mianowicie inny sposób polowania na jaguara. Myśliwy starego stylu właśnie się uzbraja na wyprawę. Naprzód, z pomocą przyjaciela, owinął sobie lewą rękę, precz poza łokieć, skórą baranią, dobrze wysuszoną, twardą, którą utwierdził przez liczne wiązadła, tak, że ręka stała się prawie sztywna. Teraz uzbroił prawicę w nóż obosieczny, długi na łokieć, przyzwał dwa psy bardzo cięte i ruszył na łowy w te lasy traw, trzcin, krzewów różnych, które rosną tak bujnie na porzeczach w Ameryce południowej. Zaczęło się polowanie. Już oto psy zwietrzyły jaguara, naszczekują, ujadają niecierpliwie, jak gdyby przyzywały pana swego; a umieją one unikać zamachów przeciwnika i utrzymywać go jednocześnie w osaczeniu. Kroki pośpieszne dają się słyszeć w zaroślach chrzęszczących i wnet myśliwy staje na placu bitwy. Nie unika on wcale przeciwnika groźnego, bo już i jego psy nacierają zniecierpliwionego, podrażnionego. Owszem, zbliża się do jaguara i zwyczajem rycerzy starożytnych, rzuca mu wyzwanie, miota nań obelgi znieważające, wykonywa ruchy, które nieprzyjaciela pobudzają do gniewu, drażnią. Zwierz, doprowadzony do wściekłości, rzuca się na człowieka, a czyni to zawsze, wspinając się w górę, jak niedźwiedź. Chwila ta ma w zapasach znaczenie najgłówniejsze. Teraz bowiem człowiek z całą zimną krwią przedstawia jaguarowi, jakby do uścisku, lewicę wyprężoną i owiniętą w skórą, a równocześnie ręką prawą w mgnieniu oka zadaje mu cios śmiertelny w serce. Psy już bezpotrzebnie rzucają się na obezwładnionego i zatapiają mu kły w szyi. Jeszcze dalekc pierwotniejszy sposób polowania polega na tem, że myśliwy wszczyna walkę z jaguarem, ufny jedynie w swą siłę i zręczność, a nie używa nawet żelaza ostrego. Przed takim Indjaninem ma się chęć schylić głowę z uszanowaniem, gdyż zręczność, siły fizyczne, choć największe, niczby tu nie znaczyły, gdyby w sercu męża brakowało męstwa. W tym razie człowiek również owija mocno lewą rękę w skórę baranią, ale prawicę uzbraja w pałkę zwyczajną z drzewa twardego i idzie potykać się z jaguarem.

D. c. n.

BOHATERSKA DZIEWCZYNA.

W połowie lipca Stany Zjednoczone Ameryki północnej zostały nawiedzone straszliwym orkanem, który wyrządził okropne spustoszenie. W stanie Georgji runęło mnóstwo domów — pogrążając w gruzach licznych mieszkańców.

Jeden dom, stojący zdala od innych na ustroniu, został zerwany wraz z fundamentami i przywalił gruzami całą rodzinę w nim mieszkającą, złożoną z 5 osób: ojca, matki, 16-letniej córki i dwu małych synów. Z tych, czworo zostało ocalonych.

Szczęśliwym trafem gruzy walących się murów tak się ułożyły, że dziewczyna została tylko chwilowo oszołomiona nie doznawszy poważniejszych uszkodzeń cielesnych. Odzyskawszy przytomność, usłyszała w pewnej odległości jęki ojca i przytłumione krzyki braci. Nie namyślając się długo, wzięła się w ciemnościach do pracy. Po nadzwyczajnych wysiłkach udało się jej po półgodzinnej pracy wydostać na światło dzienne. Zaczerpnąwszy świeżego powietrza, przystąpiła do ratowania drugich. Oblana potem, pracując sztabą żelazną i siekierą, która szczęśliwie jej się pod ręce nawinęła, wydobyła potłuczonych i już omdlałych braci. Ułożywszy ich na ziemi, niezwłocznie kopała i rąbała dalej, skąd dochodziły jęki ojca. Godzinę całą, dobywając resztek sił, osuwała tramy, cegły i kamienie. Wreszcie dostała się do ojca, któremu lewą rękę zmiażdżył i przywalił wielki kamień, ubezwładniwszy go w zupełności. Na próżno usiłowała odsunąć głaz.

›Czy matka jest?‹ — spytał ojciec. — Niema — rzekła z płaczem córka. -- Bierz siekierę i rąb! — krzyknął twardy mężczyzna. Dziewczyna struchlała i zawołała rozpaczliwie: Za nic w świecie, ojcze! pobiegnę po ludzi.— Niema chwili do stracenia; oboje możemy matkę ocalić; rąb natychmiast, bo inaczej będziesz matkobójczynią!

Na myśl o matce, dziewczyna chwyciła siekierę i spełniając stanowczy rozkaz ojca, jednym zamachem odcięła rękę.

Po obwiązaniu ramienia i wstrzymaniu upływu krwi, ojciec z córką podjęli zmudną pracę celem wydobycia matki. Lecz niestety, znaleźli ją bez życia.

Wiadomość o tem bohaterstwie 16-letniej dziewczyny podały wszystkie gazety amerykańskie. Wkrótce potem, zgodnie z panującym tam zwyczajem, zgłosiło się wielu bogatych Amerykanów z prośbą o rękę dzielnej dziewczyny. Jednak zabiegi ich pozostały na razie bezskuteczne, bo dziewczyna pielęgnuje kalekę ojca i małych braci.

STRACHY.

Pomiędzy niektórymi ludźmi istnieje wiara w zjawiska nadprzyrodzone, ukazywanie się duchów, straszenie w nawiedzanych domach lub pokojach i t. p. Nieraz na poparcie swych wierzeń ludzie ci przytaczają wydarzenia istotnie dziwne i niewytłomaczalne z pozoru, być jednak może, iż wypadki owe bliżej zbadane okazałyby się wynikami zupełnie zrozumiałych i przyrodzonych przyczyn. Oto co było niedawno.

W pewnym obywatelskim domu w Galicji wzięto nauczycielkę do dzieci. Przyjechała wieczorem i po spożyciu kolacji udała się na spoczynek do przeznaczonego dla niej na górze pokoju. Nazajutrz nie schodziła. więc pani domu poszła do niej i ku wielkiemu swemu przerażeniu znalazła nauczycielkę, leżącą w łóżku nieżywą. Ponieważ nauczycielka nie miała nikogo z bliższej rodziny, a państwo przypisywali nagły zgon chorobie serca, więc pochowano zwłoki bez robienia sekcji.

W jakiś czas potem przyjechała druga nauczycielka, umieszczono ją w tym samym pokoju, naturalnie nie opowiadając o losie poprzedniczki, aby nie budzić w nowoprzybyłej przygnębiającego nastroju. Nazajutrz nauczycielka się długo nie zjawia, pani domu idzie do niej i zastaje ją martwą. Przerażenie okropne, wezwana telegraficznie matka przybywa, państwo domu żądają sekcji zwłok, ale matka zgodzić się na to nie chce i utrzymuje, że córka jej miała wadę serca, co widocznie spowodowało jej śmierć.

Naturalnie nieszczęśliwy pokój zamknięto na cztery spusty. Nikt doń nie zaglądał, a we wsi poczęto opowiadać, że tam coś straszy, że przyczyną takiej tajemniczej śmierci musiała być jakaś siła nieczysta i t. p.

W kilka lat później przyjechał z wizytą do tego domu młody człowiek, wojskowy. Wieczorem rozmawiano o różnych niezwykłych zjawiskach i ktoś jako dowód przytoczył straszną historję pokoju. Wysłuchawszy opowiadania, młody człowiek zażądał, aby go umieszczono w tajemniczym pokoju na noc, a dowiedzie, że tam nic nie straszy. Utrzymywał też, że śmierć nauczycielek była wynikiem choroby serca, tak u jednej, jak i u drugiej, a ponieważ on ma zdrowe serce, więc cało z tej próby wyjdzie.

Gospodarze starali się go odwieść od tego zamiaru, ale on uparł się i postanowił na swojem. Dla obrony przed domniemanymi duchami zabrał z sobą psa, nabitą broń i zamknął drzwi na klucz. Nazajutrz nie zjawiał się długo. Państo poszli na górę i znaleźli drzwi zamknięte, a na ich wołanie nikt nie odpowiadał. Kowal otworzył zamek wytrychem. Na środku pokoja leżał trup psa, a młodzieniec wtulony, z wyrazem przestrachu na twarzy, w kąt otwartej szafy, był już także martwy. Zjechała komisja lekarska, zrobioro sekcję zwłok i okazało się, że młodzieniec i jego pies zostali otruci grynszpanem, który znajdował się w znacznej ilości w zielonym kolorze obicia. Dopiero wówczas państwo domu przypomnieli sobie, że obicie to dano właśnie przed przyjazdem pierwszej nauczycielki. I tak wiedza ludzka wykryła naturalną przyczynę z pozoru nadprzyrodzonego zjawiska.

ODCIĄŁ SIĘ.

— Oh, ty gałganie! Złodziej ci z twarzy patrzy!

— Tak? A ja wcale nie wiedziałem, że moja twarz, to takie pyszne lustro.

Zawiadamiamy

szanownych klientów

że nasz oddział Towarów bławatnych

PRZENIESIONY ZOSTAŁ DO NOWEGO LOKALU

Plac Tiradentes Nr. 5

upraszamy kupujcych o łaskawe ZWRACANIE SIĘ DO LOKALU TEGO

Paulo Hauer & S-ka.

Telefon 236.

Guilherme Etzel

PRAÇA DA ORDEM N. 4

Telefon Nr. 136

Poleca Szanownej publiczności kurytybskiej i okolic następują ce świeżo otrzymane towary:

Śliwki, daktyle, jabłka, gruszki, brzoskwinie, rodzynki, ananasy, winograd, sago, arrorut, krochmal, pikle, marmeladę, goyabadę, gałki-muszkatołowe, czekoladę, cukier waniljowy, wanilję, biały pieprz, herbatę hamburgską i t. d. i t. d.

Cement, szkło, pendzle i szczotki, oleje i farby, tran, saletra, siarka, lonty, naboje.

Przybory stołowe z aluminjum, kreolina, rtęć, pain-expeller.

NASIONA WSZELKIE.

GRAMATYKA POLSKO-PORTUGALSKA

cena z przesyłką 2$000.

Księgarnia polska — Caixa postal 122 Kurytyba.



PIERWSZORZĘDNY ZAKŁAD

ZŁOTNICZY

I ZEGARMISTRZOWSK

FRYDERYK KOPF

Kurytyba

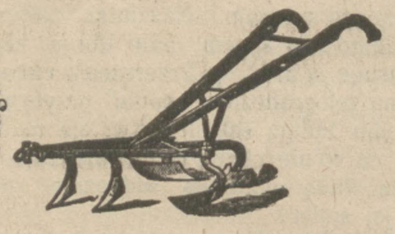
ulica São Francisco Nr. 27.

Słynne zegarki amerykańskie „Keyston Elgin, i szwajcarskie „Omega".

Reperacje uskutecznia szybko i dobrze

Dom handlowy

Ludwik Rose

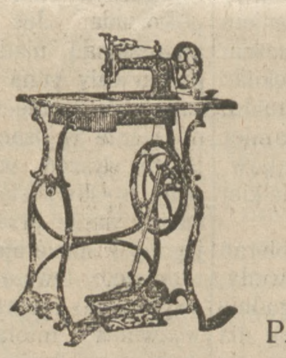


Pługi

WSZELKIE NARZĘDZIA

Piły
Heble
Świdry
Gwoździe
Druty —
Obcęgi

SIECZKARNIE



Zamki
Okucia
Zawiasy
Śruby

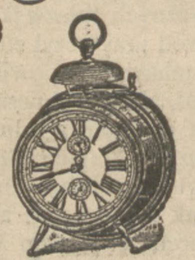
PRZYWÓZ BEZPOŚREDNI



Drut kolczasty
Maszyny do szycia
Naczynia kuchenne
Szyby przycięte
Lampy

Wymiana wszelkich pieniędzy

Młynki do kukurydzy.



NAJWIĘKSZY SKŁAD

Zegarów, zegarków i wyrobów ze złota

WIKTOR GUGISCH

ul. José Bonifacio, Nr. 10

Kurytyba—Parana.

Sprowadza wprost z Europy: zegarki kieszonkowe, ścienne, stołowe, budziki, łańcuszki. Pierścienie ślubne i inne, okulary,— binokle, kompasy, termometry i t. d.

Wykonywa wszelkie reperacje tak w zegarkach jakoteż i w innych przedmiotach złotych, srebrnych i t. d.

Ceny najprzystępniejsze!

Na wszelkie reperacje, daję na rok gwarancję!

!! WAŻNE DLA SZKÓŁ !!

TABLICE ORTOGRAFICZNE

ułożone przez Bogucką, Niewiadomską i Warnkównę

zawierające trudniejsze wyrazy, rozmiaru 80x55 cm.

do nabycia

w Księgarni Polskiej

komplet (10 tablic) z przes. poczt. 3$500

„ naklejony na płótno 12$000

KSIĘGARNIA POLSKA -

Curityba — Caixa postal 122.

Następujące, nadzwyczaj zajmujące książki, świeżo otrzymano w ograniczonej ilości:

(Ceny podajemy z przesyłką pocztową)

Najpiękniejsze czarodziejskie baśnie polskie 800

Królewicz żebrak. Opowiadanie historyczne według Twaina. Bardzo zajmujące opowiadanie o królewiczu angielskim i żebraku tak podobnym do niego, że nawet krewni się mylili 500

Historja o karzełku z dużym nosem. Zajmująca bajka przez Wilhelma Hauffa 500

Zbiór najpiękniejszych deklamacji miłosnych i wesołych, z dodaniem śpiewek i piosnek dla rozrywki młodzieży płci obojga 800

Dzieci stepów. Ciekawe opowiadanie z wojen Amerykańskich przez Henryka Wilda. Przekład z angielskiego 600

Jezioro śmierci. Opowiadanie z życia Amerykańskich podróżników według Tenimora Coopera 800

Napad w pustyni czyli krwawe dzieje lasów indyjskich 800

Pożar w kopalniach— nadzwyczajnie zajmująca powieść uwieńczona nagrodą 1000 dolarów na konkursie w Chicago 600

U dzikich w niewoli, czyli odwaga zwycięża. Opowiadanie na tle wojen Malajskich 600

Wesoły deklamator. Wybór najpiękniejszych deklamacji i monologów, zebranych dlarozweselenia towarzystwa 800

Figlarz Warszawski. Zbiór wesołych żartów i anegdot. Zebrał i wydał Dowcipniś 700

Czarni niewolnicy, czyli przyjaciel negrów. Opowiadanie z wojen meksykańskich, według Mayne-Reyda 800

Korsarze Chińscy, czyli Czarne flagi. Opowiadanie z życia marynarzy 800

Ścinacze głów. Opowiadanie historyczne z wojen indyjskich 800

Rinaldo-Rinaldini. Życie i czyny słynnego bandyty włoskiego 800

Jak się stać miłym w towarzystwie i pożądanym dla kobiet. Obszerny zbiór przepisów towarzyskich z zastosowaniem wszelkich wesołych lub smutnych okoliczności życia, wraz z cennemi wskazówkami pozyskania miłości i powodzenia u kobiet 800

Najnowsza wyrocznia przyszłości, wyjawiająca tajemnice życiowe, czyli sztuka dowiedzenia się o swym losie za pomocą kart lub figur symbolicznych 900

Wielki najdoskonalszy Sennik Polski, opracowany podług najwiarogodniejszych ksiąg egipskich i perskich, zawierający 5000 snów, sposoby kładzenia kabały i t. d. 900

Miljon snów. Nowy wielki sennik, opracowany według najwiarogodniejszych ksiąg, zawierający przepowiednie wszystkich snów z dodaniem wróżenia z kart oraz z rąk. 900

Żyd wieczny tułacz. Słynna powieść Eugenjusza Sue. 10 tomów, cena 6$500

Pracownicy morza. Powieść przez Wiktora Hugo — 4 tomy 3$500

Kościół Panny Marji w Paryżu powieść przez Wiktora Hugo 5$800

Tajemnice ręki i głowy

POWIEŚCI JULJUSZA VERNE

500 miljonów Begumy 2$700

Na około księżyca

Pięć tygodni na balonie 2$700

Pustynia lodowa 2$000

Gwiazda Południa 2$000